

BLUSZCZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

HERMINJA NAGLEROWA

Dwie dyrektywy — na dziś i jutro

Janina Strzelecka mierzy i trafia celnie, mimo to wywołała dyskusję swoim artykułem, który zamierzał uśmiercić feminizm. Przyznam się, że nie miałam zamiaru wtrącać się do sporu, bo w kwestii tej nie jestem już dziś w porządku sama ze sobą. Redaktorka „Bluszcza”, Stefanja Podhorska - Okolów zasugerowała mi jednak ważność i aktualność tego tematu, który, jak się okazuje z licznych głosów w dyskusji, wcale nie jest dylematem, ale zagadnieniem skomplikowanym i niewyczerpanym.

Zaczyna się oczywiście od nieporozumienia. Czemże bowiem jest „feminizm”? Określeniem sprzed 50-ciu, czy więcej lat, o treści kiedyś bardzo rewolucyjnej, programowej i nieustępliwej. Odpowiada mu ówczesna forma walki i niewątpliwa sensacyjność wzburzonej argumentacji, ruszającej świat z-posad. Dziś w znacznej mierze toczy się walka również o „posady”, ale nie te metaforyczne, lecz bardzo popołite i powszednie, którymi jednak zbyt skąpo sfałszuje kryzys.

Jakże odrazu pomniejszałam samą sprawę! Jakże pośpiesznie odebrałam jej czerwoną barwę, czyniąc z niej szare i gnuśne zagadnienie pracy i chleba! Gdybym chociaż powiedziała: zagadnienie ekonomiczne i przypieczętowała to cyframi wielorakich statystyk! Ale i tak — sędzę — nie wybrnęlibyśmy gładko z tych trudności, tak powszechnych i zagmatwanych. Cyfry statystyczne czynią przecież zadość zasadzie równouprawnienia kobiet, kierowane jakąś pasją dokładności. Wynika z tego paradoks, że cyfry, podobno „suche i „chłodne”, szerzą panikę, skoro miljonowe armie bezrobotnych zagrażają równowadze i bezpieczeństwu świata.

Trzymajmy się jednak poły feminizmu, bo tu

właśnie stajemy oko w oko z wrogiem sprawy kobiecej. Jeżeli bowiem statystyki są dokładne, a niebezpieczeństwo bezrobocia ogromne, nie brak takich, którzy sądzą, że zmniejszenie przerażających cyfr jest załagodzeniem kryzysu. Zmniejszyć zaś można te cyfry bardzo wydatnie przez wyeliminowanie z nich kobiet bezrobotnych, poczem już w logicznym następstwie wylania się sprawa pracy kobiet wogóle.

Zanosi się więc na to, że wraca z całą ostrością walka o podstawową zasadę feminizmu: prawo do pracy. Wraca zaś ta walka w warunkach o wiele gorszych, niż pięćdziesiąt lat temu i napotyka na opór bardziej zaciekły, bardziej skonsolidowany. Nie wątpię wcale, że feminizm dzisiejszy musi wyłożyć wszystkie swoje siły do tej walnej rozprawy, której wynik rozstrzygnie o całokształcie zagadnienia. Po prostu: jeżeli nie potrafimy utrzymać się przy warsztatach pracy, będziemy powoli tracić wszystkie prawa, będziemy cofać się na dawne, niewygodne pozycje w państwie, społeczeństwie, rodzinie.

Dlatego też nie powinniśmy zbyt ufać zjawiskom dodatnim, ludzącym nas postępem. Nie należy też zbyt ufać na sile ciężkości, jaką jest dziś masa kobieca, zdawałoby się, już uświadomiona i aktywna. Feminizm — powiedzmy to sobie otwarcie — nie pokrywa się całkowicie z problemami społecznymi i ekonomicznymi świata. Kiedyś szedł feminizm ręką w rękę z socjalizmem, liberalizmem, dziś jest osobną kartą w republikańskiej Francji, komunistycznej Rosji, narodowo-socjalistycznych Niemczech, czy faszystowskiej Italji. Ach, co tu dużo mówić, jest tam wszędzie pogiębiony, i stało się to, zanim jeszcze osiągnął całkowite zwycięstwo. Niema więc femini-

żmu w tych nowych ustrojach, a Francja, zaabsorbowana reformami, które szarpia nią od lewa na prawo, nie dba wcale o zapóźnione i niemocne ataki francuskiego świata kobiecego.

Studując nowe ustawy, które mają na celu uporządkowanie kwestji kobiecej w wymienionych tu państwach, bez trudu dostrzegamy, że nie tyle chodzi ustawodawcom o obyczajowe hamulce, co właśnie o usunięcie kobiet od pracy zarobkowej. Popieranie rodziny ma wszakże ten ukryty cel, żeby kobietę znowu zamknąć w domu, obarczyć ją wielką ilością dzieci, żeby ją zmatronizować. Któż może wątpić, że w obecnych warunkach kobieta pójdzie na przynętę „życia osobistego“, „życia rodzinnego“? Nie łatwa jest dziś przecież walka o byt, nie spełniają się ambicje, nie dopełniają się dążenia.

Mamy zatem do czynienia z pojęciem socjalnej sprawiedliwości, rozszczępionem na dwoje. Kobieta mówi bowiem o ludzkiej sprawiedliwości, w której mieści się i jej, kobieca sprawa, a mężczyzna widzi, tak jak widział, sprawiedliwość w podziale zadań, w podziale pracy. Jego praca ma więc być zarobkowa, podczas gdy praca kobiet jest obowiązkiem wobec Boga, Państwa i Rodziny.

W takim stanie rzeczy ożywają znowu wszystkie argumenty dawnego, najdawniejszego feminizmu, z tą jednak różnicą, że na początku walki wierzyliśmy w zwycięstwo, podczas gdy dziś rozważamy trzeźwo zbliżającą się — klęskę. I może właśnie dlatego dyskutujemy sobie i dla siebie na temat feminizmu? Może właśnie dlatego jedna z nas poddała rewizji i słowo samo i treść tego słowa?

Więc czemuż jest dziś ten feminizm? — Nawykiem i ogromną troską.

Tak myślimy, my, które przeżyłyśmy niedługie lata sukcesu, odniesionego przez tamte kobiety, przez emancypantki i sufrażystki, przez feministki pur sang. Wzięłyśmy duży rozpęd i zależnie od naszych dyspozycyj twórczych osiągnęłyśmy sporo. Nam zatem byłoby szczególnie ciężko wycofać się z zajętych placówek i dlatego burzymy się i dowodzimy zaciekle, że feminizm ma jeszcze coś do zrobienia, że feminizm ma jeszcze te swoje waleczne cechy, te swoje porywające hasła. To jest nasza postawa z nawyku i nasza troska o przyszłość. Ale my nie jesteśmy przecież — przyszłością. Decyzja należy do młodych, może do najmłodszych, które w tej chwili nie rozumieją jeszcze nic z tego, czem się tak trapimy.

Przychodzi mi w tej chwili na myśl taki drobny,

śmieszny objaw: te najmłodsze wołać choćby myślenie warkoczyki, niż wygodę krótko ostrzyżonej czupryny. A matka posłusznie wiąże kokardy w warkocze, z tkliwym atawizmem w sercu, że jednak jej córeczka zapowiada dużo kobiecości. Matka ta jest lekarzem, nauczycielką, wyrobnicą, działaczką społeczną i, jakżeby to powiedzieć? — prowadzi podwójne życie. Poza domem wyznaje wiarę feministyczną, w domu natomiast stosuje odmienne metody wychowawcze do syna i córki. Wychowuje zatem konserwatywnego mężczyznę i kobietkę na dawną modłę.

Pocóż piszę o tem, uskoczywszy w bok od tematu? Aby wskazać, że przyszłość sprawy kobiecej to nie tylko mowy w parlamentach, publicystyka w prasie, programy w organizacjach. Przyszłość sprawy kobiecej jest w rękach matek! Zalecam ten „domowy sposób“, jako najskuteczniejszy na czasy, które idą. Trzeba chłopcom wpajać zasady równości i sprawiedliwości społecznej, aby pojęcia te nie były potem rewelacjami, do których żadną miarą nie można przetrwać. Gdyby nasze matki inaczej wychowały swoich synów, może naprawdę nie miałybyśmy dziś powodu do obaw o przyszłość sprawy kobiecej. Mężowie stanu, układający nowe ustawy, nie łamałyby sobie głowy nad feministycznym niebezpieczeństwem, nie byłoby też autorami takich koncepcyj-dziwolągów, że praca kobiet jest przyczyną kryzysu.

Nie na wiele zatem przyda się teraz wyliczanie krzywd, któremi rozgoryczamy się w życiu publicznym i na codzień. Wyrzekamy na system, wytykamy błędy w ustroju politycznym i w społecznych urządzeniach, godzimy w złą organizację rodziny, osiągając w rezultacie tylko rozproszenie uwagi. Trzeba tu sobie uprzytomnić, że dziś dominuje w życiu motyw pracy, więc też feminizm musi narazie swój program zmodyfikować do tego zasadniczego punktu. To byłaby jedyna dyrektywa na chwilę bieżącą i należałoby trzymać się jej mimo przeczecucia klęski.

Proszę mnie nie posądzać o defetyzm, bo, przepowiadając klęskę, wierzę, że klęska nie jest jeszcze epilogiem walki o sprawę kobiet. Dalszy jej ciąg, może mniej *efektowny*, ale bardziej *efektywny*, powierzamy dzielności i rozumowi matek, które swoje doświadczenia, pozbierane z pracy, walki o byt, walki o własne człowieczeństwo potrafią przetransponować na system wychowawczy. Mam wrażenie, że zagadnienie feminizmu tak długo będzie aktualne, jak długo matki nie przeobrażą pojęciowości swoich synów. Pozwolę więc sobie na ostatku na herezję: krzywdy kobiet są winą kobiet.

Przypominamy, że czas opłacić prenumeratę za miesiąc marzec.

Celem uniknięcia opóźnień i przerw w wysyłce pisma prosimy o punktualne wnoszenie opłat. Najdogodniejszym sposobem uiszczania należności są pocztowe prenumeracyjne przekazy rozrachunkowe (błękitne), przy użyciu których nadawca nie ponosi opłat porta. Blankiet w cenie 1 grosz za sztukę nabyć można w każdym Urzędzie Pocztowym.

Ze świątecznych notatek

*Jest niedziela. Deszcz wałęsa się po starym trotuarze.
Idzie do kina małżeństwo. Oboje podstarzali i szarzy.
Idą pod rękę, z przyzwyczajenia. Milczą. Nie mają
[już sobie nic do powiedzenia.*

*Ona z trudem dźwiga w rękawiczkach ręce.
Może je dziś poparzyła, smażąc słoninę w rynience.*

*Gorset uciska, myśli więc, by do celu jak najprędzej
[przybyć.*

*On ożywia się, widząc na plakacie cyganki palmową
[kibic.*

*Wieczorem po skończonym programie
ociężali od cygańskich marzeń, znów iść będą w mil-
[czeniu i pod rękę
po schłapanym deszczem trotuarze.*

Szczęście w mydlarni

*Czemu nie mam kupić w mydlarni
czzerwonych trzewiczków szczęścia?
Tak się na sznurku kołyszą zabawnie.
Ludzie wkoło, pełni powagi i przejęcia
szare mydło i mosk kupują, jak dawniej.
Mnie się to nie przyda, wolę paciorki zielone*

na wążł nic nanizane.

I choć się to pocziwej mydlarce

wyda nieco podejrzanę

kupię jeszcze kubelek z kwiatkiem

i rycerza wąsałego z lila gumy

i pójdę ośnieżoną aleją pełną szczęśliwej zadumy.



Przedwiośnie.

(fot. Podłębski).

Krew krąży ...

Docent Jan stanął w drzwiach i spojrzał na salę. Odrazu dostrzegł profesorową Juncke w towarzystwie córki. Zdziwił się, — Matylda nigdzie dotąd nie bywała. Nikt nie wiedział dlaczego, a właściwie nikogo to zbytnio nie interesowało. Matylda była mało znana. Docent spotkał ją kilka razy, ale nawet nie pamiętał, czy z nią rozmawiał. Gdyby go kto zapytał, jak wygląda, nie umiałby pewnie na to odpowiedzieć. Teraz patrzył i dziwił się: Matylda była bardzo piękna. Siedziała obok matki i obojętnie patrzyła na salę. Matka coś jej tłumaczyła, była zirytowana i podniecona. Docent Jan zbliżył się. Profesorowa przywitała go serdecznie, Matylda zdawała się go nie spostrzegać. Stał się nawiązać z nią rozmowę.

— Czy pani nigdy nie chodzi na bale? Widzę panią dziś po raz pierwszy.

Odpowiedziała chmurnie:

— Matka mi kazała.

Muzyka grała wiedeńskiego walca. Pienista rozlewna melodia szła falami przez salę. Kobiety omdlewające, rozmarzone fruwały w ramionach danserów, przechylały głowy wtył, przymykały oczy, błyskały zębami w rozrzutnych uśmiechach. Było gorąco.

Docent Jan pochylił się w ukłonie przed Matyldą:

— Czy mogę panią prosić?

— Nie, — rzuciła krótko i niegrzecznie.

Był tak zdziwiony, że nie zapanował nad pytaniem, które mu się wyrwało:

— Dlaczego?

— Nie lubię przechodzić z jednych ramion w drugie — odpowiedziała niechętnie, jakby wbrew sobie. I pierwszy raz spojrzała na Jana. Popatrzyła mu prosto w oczy. Ołśniła go przejrzystością jej spojrzenia. Zanim zdolał sobie uświadomić swój odruch, pochylił się nisko i pocałował Matyldę w rękę. Za chwilę pożegnał się i odszedł. Postanowił wrócić do domu.

Szedł wzburzony starymi ulicami uniwersyteckiego miasta.

Wiosna buchała już z ziemi, wiatr nią wiał i pełne jej było ciepło, ciemne niebo. Docent Jan szedł długimi krokami i oddychał głęboko. Wzruszenie burzyło się w nim, fermentowało. Działy się przemiany.

W pewnej chwili Jan stanął. Stał, popatrzył w niebo, potem na czarne drzewa, nabrzmiałe młodym soki, potem jeszcze raz w niebo i głośno oznajmił:

— Kocham ją.

Nazajutrz złożył w domu profesora Juncke uroczystą wizytę. Za miesiąc zaręczył się z Matyldą.

Narzeczeni byli spokojnie szczęśliwi. Wiosna dopomagała ich sercom, dawała im pachnące ogrody, sentymentalne słowiki i gwiazdzone noce. Obdarzała ich najhojniej wszystkimi akcesorjami miłości, które nie są konieczne, ale zawsze się przydadzą.

Docent Jan i Matylda przechadzali się wśród ulic, pełnych burzliwej zieloności, albo, — najczęściej — wśród wąskich ścieżek ogrodu profesora i subtelnie rozmawiali o swoich uczuciach.

— Nigdy nie przypuszczałem, że jedno zdanie może odmienić świat — mówił Jan. — Powiedziałaś: „Nie lubię przechodzić z jednych ramion w drugie”. Te słowa to była zapowiedź szczęścia. Ukazałaś mi się w nich nieskazitelna i doskonała, piękna i mocna. Zrozumiałem, że ty, to jest pewność. Że wszystko na świecie może zawieść, tylko nie ty. Przecież nikt cię do tych słów nie zmuszał, tyś tak czuła. To właśnie było cudowne — ta intuicyjna czystość. Niepodzielność bez zastrzeżeń.

Matylda uśmiechała się łagodnie i słodko. Jej ciemne włosy upięte na karku lśniły w słońcu złotymi nitkami. Czyste oczy patrzyły mocno i zdecydowanie. Szła lekko, gdy ścieżka zwężała się, wyprzedzała o krok narzeczonego, który delikatnie podtrzymywał ją za łokieć. Potem znowu łączyli się i szli dalej, wzięwszy się pod ręce.

Kiedyindziej Jan mówił:

— Wydaje mi się nieraz, że zniósłbym to, gdybyś mnie przestała kochać. Ale boję się myśleć, co by się stało, gdyby się okazało, że jesteś inna. Inna, niż ta, którą znam i kocham. Miłość, to złe słowo. To, co ja czuję, to jest wiara. W cokolwiek wierzę, czynię to przez ciebie, to znaczy poprzez ciebie. Ty jesteś jedyny stały punkt we wszechświecie. Stąd się wszystko zaczyna i na tem się opiera. Ty, to jest jedyna wiadoma. Jesteś tą osią, na której obraca się cały świat i całe moje życie. Nie zawieź mnie — prosił, zamierając z grozy na samą myśl, na samo przypuszczenie.

Matylda stawiała przed nim i opierała mu obie ręce na piersiach. Widział tuż koło swoich ust jej różowe wargi. Nie całował ich dotąd. Nie śmiał. Nie mógł. Nie chciał.

— Kocham cię — mówiła, patrząc mu w oczy..

Uspakajał się i był szczęśliwy.

Przychodził do Matyldy codziennie o zmierzchu, zakończywszy swe zajęcia na uniwersytecie. Czasami zdarzało się, że niespodziewanie znajdował jakąś wolną chwilę wśród pracy i wpadał do narzeczonej, aby ją zobaczyć. Witano go bez zdziwienia, bez wybuchów, z jednakim, niezmiennym, spokojnym uśmiechem. Siadali na ławce w słońcu, które — coraz ognistsze — wskazywało, że lato się zbliża. Gdy było zbyt gorąco, chowali się na zacienioną werandę. Pełni uśmiechów, mówili mało ważne słowa, zrywali kwiaty z kolorowych grządek, chłodzili się wodą i pachnącymi truskawkami, długo milczeli. To było szczęście.

Zaczęły się przygotowania do ślubu i do wyjazdu na lato. Docent Jan wyjechał, aby w górach wynająć domek, w którym mieli samotnie zamieszkać podczas swych najpiękniejszych wakacji. Udało mu się znaleźć coś podobnego do tego, co sobie oboje wymarzyli. Wrócił uszczęśliwiony i poszedł wprost do Matyldy. Ujrzał ją na werandzie. Nie widziała go. Stał. Czuł w głowie krzepnący chłód. Nic więcej, tylko to lodowate zimno.

Widział szerokie męskie plecy, w które wpijały się białe ręce. Głowa Matyldy o mocno zaciśniętych powiekach przechylała się wtył, żyły na szyi pulsowały. Przez chwilę docent Jan wpatrzył się w tę sylwetkę, jarzyły się na niej różowe ślady pocałunków.

Odwrócił się i odszedł. Nikt go nie zauważył.

Szedł ulicą i myślał:

— Zawsze byłem zdania, że teorie asocjacionistów nie dadzą się utrzymać. Ani stary Hartley, ani Stuart Mill, czy Bain nie zdołają mnie przekonać. Każdej chwili podejmę się udowodnić, że te ich cztery prawa kojarzenia wyobrażeń są fałszywe. A więc przede wszystkim kojarzenie na zasadzie podobieństwa przedmiotów. W tym wypadku czynnikiem decydującym będzie...

W rozumowanie wpłatały się słowa: „Nie lubię przechodzić z jednych ramion w drugie”. Zachnął się, zacisnął zęby.

— ...a jeżeli chodzi o kojarzenie na zasadzie kon-

taktu w przestrzeni, to jeżeli to sformułujemy w ten sposób...

Doszedł do domu i zamknął się w swym gabinecie. Stał przy oknie i tępo patrzył przez szybę. Potem odwrócił się i wzruszył ramionami:

— No więc cóż się takiego stało?! Niejeden raz się to już zdarzyło w dziejach świata i niejeden się pewnie zdarzy. Klasyczny, okazowy „zdradzony kochanek” — dodał ironicznie. Próbował się roześmiać. Ale jakoś nie mógł.

Zdjął pierścionek zaręczynowy, włożył do koperty, na kartce napisał: — Straciłem wiarę — i skrzywił się. — Co za kabotynizm! — pomyślał z niesmakiem. Nie zmienił jednak napisu i kopertę zakleił. Wyjął rozkład jazdy i sprawdził, kiedy odchodzi pociąg do Paryża. Miał już dawno zaproszenie od kolegi, które wciąż odkładał. Teraz nadarzyła się okazja. Jest wolny, wakacje się zaczęły już od dwóch dni. Zadzwonił na służącego i kazał zapakować walizkę. Z półki wybrał kilka książek, które chciał zabrać ze sobą, zrobił doroczny porządek wśród papierów i mając jeszcze kilka godzin czasu pograżył się w czytaniu.

...w obu wypadkach zachodzi podobny proces. Krew w ten sposób pobudzona do szybszego ruchu, krąży...

Krew krąży...

Docent Jan ujrzał wyraźnie zaróżowioną szyję Matyldy. Ta różowa skóra przesłoniła mu literę. Nie

widział już nic. Serce waliło mu głucho, żyły na rękach nabrzmiały, w skroniach dudniła krew. Świat się zapadł. Było pusto i przeraźliwie samotnie.

Jan zamknął książkę. Z listu do Matyldy wyjął pierścionek i włożył go spowrotem na palec, list spałil dokładnie, doszczętnie nad świecą. Otworzył szufladę, wyjął rewolwer, sprawdził.

— Matyldo, Matyldo — zawołał naraz z dna samotności. Tęsknota ciepła, słodkawa, mdląca wzbierała w nim, zalewała mu płuca, gardło, usta.

Zerwał się. Wypadł z domu, pozostawiając za sobą dygocące drzwi. Szedł prędko, biegł prawie. Mijały go drzewa, przechylone ukośnie, blade niebo przepływało nad nim w pośpiechu.

Na końcu drogi czekał spokojny ogród profesora Juncke. Matylda, łagodna i uśmiechnięta siedziała na werandzie. Ujrzała Jana, był zmieniony, był inny. Wstała i czekała.

Docent Jan, bez przywitania, milcząco i gwałtownie chwycił ją w objęcia. Dławił się czułością. Gorączkowo, bez tchu, szeptał słowa nowe dla siebie, przyczajone w sercu czekały na tę chwilę, aby wyskoczyć z ukrycia.

— Matyldo, Matyldo — powtarzał, udręczony, szczęśliwy, pełen miłości.

Matylda, z twarzą, ukrytą za jego ramieniem, uśmiechała się lekko, leciutko, niedostrzegalnemu drgnieniem ust i rzęs.

Tego dnia nie rozmawiali subtelnie o miłości.

STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Dusza kresowa

Pełna kontrastów i niespodzianek jest dusza kresowa. I kiedy wszystko dobrowolnie przykrawa się pod szablon, ona jedna rozsądza standaryzowane formy. Nie da się ugnieść, ani ulepić, chyba przekuć. Wiecznie kipi, jak kora ziemiska przed zastygnięciem. I dlatego w dzisiejszym świecie często uchodzi za szczałek antydyluwialny.

Takie myśli obudziły we mnie dwie książki Melchjora Wańkowicza, dwie książki — dwa światy: „Szczeniące lata” — średniowiecze na wschodnich kresach w epoce fin de siècle’u i „Opierzona rewolucja” — reportaż, nie, raczej odbicie dzisiejszych Sowietów w umyśle kresowca, który zamknawszy na cztery spusty jedną epokę swego życia, odważnie i z otwartymi oczami, i uszami wkracza w drugą.

Trzeba naprzód przeczytać „Szczeniące lata”, a potem „Opierzona rewolucja”, żeby ostupieć na widok tego szalonego skoku od feudalizmu do komсомолu, od beztrojskiego nieróbstwa rasowych żubrów do... tempa piatiletki.

„Idąc ze stajni do obory” (tak brzmi fragment „żywota człowieka poczciwego”, pana na Kalużycach) przechodziło się koło majdanu z narzędziami rolniczymi, stojącymi

na otwartym powietrzu i mówiło się stale:

— Trzeba będzie te narzędzia umieścić pod szopą, bo deszcz zniszczy.

Tak trwało lata. Aż nastał młody rządcą, królewski, wytresowany służbista na jakiejś praktyce; nieświadom obyczajów, powiedział:

— Tak jest.

I nazajutrz, kiedy się ciągnęło ze stajni do obory (dziedzic zawsze chodził w orszaku służby i petentów), okazało się..., że narzędzia są pod szopą.

Tak oto zanikła jeszcze jedna tradycja, stracona brutalną ręką outsidera.

Przytaczam umyślnie ten urywek, który w lapidarnym skrócie daje nam nie tylko obraz obyczaju, ale i postawę autora wobec niego. Uśmiech krytyczny, z jakim czło wiek nowoczesny patrzy na barbarzyństwo, obrosnięty jest tak grubą warstwą tkliwości, jak gruba jest warstwa darni mogilnej, która tamte sprawy i tamtych ludzi niepowrotnie przykryła. Wielkie dziwactwa, niedźwiedziowość, bezmyślność nieraz, ale i wielkie serca, zdolne do ofiary, do poświęceń, do bohaterstwa.

Jest coś monumentalnego w tych postaciach kresowych matron i pa-

nów, nieugiętych, gdy szło o sprawę ziemi, o sprawę ojczyzny, w tych dworach, z których każdy był strażnicą i kuźnią polskości. Jednemu z tych dworów rodzinnych takie Wańkowicz kreśli epitafium.

„Dom ten i życie w nim zawarte musiały zniknąć. Był zbudowany na życiu, niby życia tego przekwit, zmurszałość i przeżytek. Nie był przygotowany na czasy, które idą.

Ale domu tego mieszkańcy, bici przez los, spychani przez życie, mieli w sobie wielką siłę oporu, wielką stałość trwania. Klęski przyjmowali, jako normalne objawy życia, powodzenia — z niepokojem, czy aby nie są doraźnym odczepnem Boga za ich dobre postęпки — zbyt nikłe, aby odkładać je aż do nagrody w niebie. Ludzie, na podłożu tego domu wyrosli, mniejsza o to, wierzący potem czy nie, mieli w psychice swojej przyciężki złom zasad — niezdolni do ułatwienia sobie życia, gdzie się nie godzi. Dlaczego? Niewiedomo. Uleciały zasady, dogmaty, pozostała — struktura psychiczna.”

Otóż ta struktura psychiczna wyjaśni nam nie jedno, co nas może zdziwić lub zaskoczyć przy czytaniu „Opierzonej rewolucji”.

Autor, jadąc do Moskwy, w wagonie sypialnym ucina rozmówkę z konwojentem. Okazuje się, że to Mińszczanin, że Wańkowiczów i ich dawną pozycję klasową zna. Skręca jednak spokojnie papierosa i stwierdza z życzliwym zadowoleniem:

— Znaczą, ziemlak budietie? (a więc jesteście krajanie?).

W autorze to spotkanie budzi szereg wspomnień.

„Piętnaście lat temu. Wielki czas, jeszcze większa praca nad duszami ludzkimi, skoro ten człowiek tak daleko uszedł i od nienawiści i od pokory“.

Dodajmy, że Wańkowicz zbyt dobrze pamięta niedawne jeszcze czasy, kiedy chłopci przychodzili na sąd do dworu, a „godząc paszę“ na odrodek, przynosili symboliczne dary nowoczesnym feudałom. Pamięta, ale struktura psychiki kresowej robi swoje...

I oto ta dusza kresowa, której młodość wybujała w jurnej butności i w szerokim pańskim rozmachu, umie ocenić to, co jest dźwignią przyszłości: pracę, wychowanie, organizację. Przez parterowe okna oświetlonej fabryki obserwuje uczące się grupki młodzieży. „Uczący się z reguły robotnicy. W czapkach, w kozuchach. Robotnicy w chustkach na głowie. Szczęki wydane. Łapy, jak łopaty. Zła kreda po kiepsko malowanej ta-

blicy wywodzi niezdarne rysunki. Jest skąpo światła i musi być zimno, bo wszyscy w kozuchach. Za tą oświetloną szybą trwa móżól. Jakby kto drewnianą sochą bardzo głęboko odwalal skibę w gruncie kamienistym i zapuszczonym“.

I wystarczy zestawić ten obrazek, widziany raz jeden przez szybę, z obrazkiem tych narzędzi tradycyjnie moknących i rdzewiejących niegdyś na podwórzu obszarnika, aby zrozumieć zdecydowaną postawę autora wobec życia.

Postawa radośnie stwierdza fakt: świat idzie naprzód, nawet po zgłiszczach i trupach. Postawa ta, rzecz prosta, może być przedmiotem dyskusji.

Ale nie ona nas pociąga w obydwu książkach Wańkowicza. Bez względu na ich podłoże ideowe, które z latami straci swoją aktualność publicystyczną, mają one niezniszczalną wartość dokumentu stylometryczno - psychologicznego. Nigdzie może francuskie określenie „styl, to człowiek“, nie przylega ściślej, jak do tego, jedynego w swoim rodzaju, typu naracji, obrazowania, wysłowienia. I kto zna Wańkowicza, kto z nim zamienił choćby kilka zdań, ten zdaje sobie sprawę, że ten człowiek, mówiąc, nie nastawia się, ani nie nakręca na jakiś specjalny ton, a pisze tak, jak mówi, popuściwszy pa-

sa, poklepując słuchacza po ramieniu, całą gębą, kiedy woła, roześmianą od ucha do ucha, kiedy trzeba — skupioną, żalowaną bodaj. I choć sam często wspomina o swym bojarsko-białoruskim pochodzeniu, więcej jest w nim prawego sarmaty, niż w wielu na „ski“ się kończących.

Pokrewieństwo duchowe z Janem Chryzostomem Paskiem nasuwa się samo przez się. Jest to, rzecz prosta, Pasek współczesny, Pasek o mózgu wygimnastykowanym na trapezach dziennikarstwa, o wzroku tak bystrym, że nietylko nie spudłuje do głuszcza na tokach, ale i pod niemytą skórą barbarzyńcy wyczuje tętno budzącego się człowieka.

I ten, i tamten wędrowali do Moskwy dalekiej i dziwowali się jej ludziom i obyczajom, każdy z odmiennych powodów i po swojemu. Szalone tempo wypraw wojennych zastąpione zostało po wiekach tempem podróży. Dla Paska Danja była „ultima thule“, — wywiózł z niej wspomnienie miłosnej przygody i parę drewnianych sandałów. Wańkowicz wpadł do Meksyku, jak po ogień, na dwa tygodnie, i wywiózł z niego książkę.

Temperament kresowca, który dawniej wyladowywał się w polowaniach, kuligach, hulankach, wszechwładnem w swoich dobrach panowaniu, a nierzadko w powsta-



Leśna droga na Kresach.

(fot. Poddębski)

niach, pieszych przechadzkach na Sybir, — teraz przetwarza się w stałą emisję inicjatywy, energii twórczej na różnych polach. Wańkowiczowskie pisanie, to tylko wczasy tegiej litewskiej „szczuki“, która dostała się do koroniarzkiego stawu i ruch srogi czyni między ospałymi rybami.

Ot, i niechęć zagadałam języ-

kiem „Szczenięcych lat“. Tak się przecież mówiło przed wojną: za Bugiem Litwa, do Bugu Korona...

I na tem polega siła i czar gawędy wańkowiczowskiej, że narzuca nam swój kodeks artystyczny, że podświadomie posługiwać się chcemy tą samą walutą wspomnień, chociaż przedtem uważaliśmy ją za wycofaną z obiegu.

Wańkowicz umie ożywić numizmaty. Pod gorącym tętnem jego krwi zagrały świeżym blaskiem, zadźwięczały czystym metalem.

Prawym rycerzem zwano tego, co się ujmował za wdowami i sierotami — prawym artystą godzi się nazwać tego, co umiał dać głos ludziom i sprawom, skazanym na wieczne odejście.

M. ZNATOWICZ - SZCZEPAŃSKA

U pani Dory Gabè

Jest w Sofji dzielnica, zwana „literacką“ i tam pani Dora Gabè, znakomita poetka bułgarska, ma śliczne mieszkanie, z balkonem, wychodzącym na las sosnowy, z oknem, zajmującym całą ścianę jednego pokoju. Idziemy do niej któregoś wieczoru z miłą moją przewodniczką, panią M. Gospodyni spotyka nas na schodach i wita mnie po polsku: „Miło mi bardzo widzieć Panią u siebie, bo ja Polskę znam i kocham“ — powiada, wymawiając wyrazy zupełnie prawidłowo, ale bardzo wolno i ostrożnie, jakby się bała je zniekształcić...

Jest szczupła i śniada, o czarnych pysznych oczach i czarnych włosach, ubrana w płócienną suknię, estetyczna, dyskretna.

Zasiadamy w większym pokoju, w którym wszystko do ostatniego drobiazgu pochodzi z Dobrudży. Ta, nie bułgarska obecnie, a tak bliska bułgarskim sercom prowincja, jest krajem dzieciństwa Dory Gabè. Długie wąskie sofy, obiegające trzy ściany pokoju, pokrywa kilim, o tonach ciemno czerwonych, przyćmionych jeszcze czarnym haftem. Serwetki, ręczniki, drobiazgi drewniane i ceramika, poduszki, nawet oprawy książek — wszystko jest dobrane w stylu i kolorze. Na półkach dzieła polskie z Krasińskim i Kasprowiczem na czele. Dużo też literatury czeskiej i jugosłowiańskiej.

Naturalną kolejną rzeczą zaczynamy rozmowę od stwierdzenia, że znałyśmy obie Jana Kasprowicza.

— Prawda, pani, co to był za człowiek! — wzdycha Dora Gabè. Przynosi mi „Księgę ubogich“, zaczytaną, widać to odrazu, w codziennym użyciu.

— To jest cały Janek... — powiada i wspomina dwukrotny swój pobyt na Harendzie, pyta o ostatni tom pamiętnika pani Kasprowi-

czowej. Opowiada mi potem, że dopiero po poznaniu naszego poety, mogła przetłumaczyć „Moją pieśń wieczorną“ i że zawsze tłumaczy lepiej utwory pisarza, którego zna osobiście. Pyta o stosunki literackie w Polsce, o Wacława Berenta, którego, na jakimś zjeździe Pen Clubów potrafiła ku zdumieniu wszystkich rozgadać... Z gorącą nutą w głosie mówi o poezji Iłakowiczówny, tak bardzo ludzkiej, natchnionej.

— Muszę być w Polsce tej zimy — konkluduje — nie mam pojęcia o najnowszej Waszej literaturze, — a i dawne znajomości chciałabym odnowić.

— Nad czym Pani obecnie pracuje?

— Piszę dla dzieci i tłumaczę du-

żo z czeskiego. Oni mają piękną lirykę.

Popijając tradycyjną tu wszędzie kawę turecką i jedząc konfitury, oglądamy z p. M. książeczkę z wierszykami dla małych dzieci, ślicznie ilustrowaną przez malarza Beskowića, ucznia Zofji Stryjeńskiej. Rysunki te są w smaku ludowym, niezmiennie wyraziste i wdzięczne, a wierszyki?...

— Krytyka zarzuca mi, że demoralizuję dzieci moją poezją, ponieważ nie prawie moralów — powiada z uśmiechem p. Gabè.

— A co mówią dzieci na wierszyki Pani?

— Dzieci? Uczą się ich na pamięć!

— Można wobec tego nie dbać o krytykę dorosłych — pocieszam poetkę.

Obdarowana „Antologią poezji

polskiej“ w przekładach z kilku słowami autorki, żegnam się i wychodzimy wraz z naszą miłą gospodynią, która chce mnie odprowadzić. Na stacji tramwaju, położonej w szczyrim piaszczystym lesie, czekamy długo, oddychając z rozkoszą świeżem, wieczornem powietrzem po spiekocie tego dnia wrześnieowego. Wreszcie tramwaj się zjawia i znajdujemy się w śródmieściu. Na ulicach Sofji panuje ścis i ruch niesłychany, miasto jest udekorowane, ukwiecone i ubrane girlandami lampionów na cześć jugosłowiańskiej pary królewskiej, która tego dnia właśnie przybyła z wizytą do cara Borysa...

— Szkoda, że tak krótko mogłyśmy się widzieć — powiada p. Gabè swym miłym, cichym głosem. — Dowidzenia w Polsce!

I rozstajemy się w kawiarni, gdzie mam umówione następne spotkanie, a mnie długo towarzyszy obraz wytwornej sylwetki pisarki i ślicznego wnętrza jej „home'u“ gdzie czuje się tak wiele kultury, zadumy, pracy i poezji.



Pani Dora Gabè — w stroju bułgarskim (pośrodku)

V Salon zimowy Ips'u



„Ile” tylko „Studjum kompozycyjne” Felicjana Kowarskiego. To śmiałe zestawienie mrocznego szafiru z ponurą, jakby przydymioną czerwienią łącznie z niesamowitym wyrazem dwóch męskich sylwetek, przykuwa zagadkowością barwy i ekspresji. Zarazem jest to jedyny może obraz w obecnym Salonie, w którym widać wyraźnie wysiłek artysty w kierunku wyjścia z siebie, ze swoich dotychczasowych chwytów malarzkich, dążenie do zmiany, do wstrząsu, do rewolucji, do prze wartościowania własnych wartości.

Tak zwane „Salony” doroczne wywierają zawsze wrażenie natłoku najróżnorodniejszych, często na przeciwnych krańcach znajdujących się indywidualności. Tłum tylko wówczas ma pewne oblicze, gdy występuje w imię jakiejś wspólnej idei, czy doktryny. Inaczej jest przypadkową mozaiką, z której widzieć z trudem wyławia pojedyncze kamyczki, przyswajając sobie ich wartość w sposób chaotyczny, [dorywczy i powierzchowny.

Chaos powiększa jeszcze fakt, nie dający się zresztą uniknąć, że katalog ułożony jest alfabetycznie, a eksponaty wieszają rozmaicie, wedle rozmiaru płótna, hierarchii artystycznej twórcy, czy wreszcie wedle oceny kwalifikujące jury.

Jeżeli mam być szczerą, to na obecnym z dzieł malarzkich „bierze za

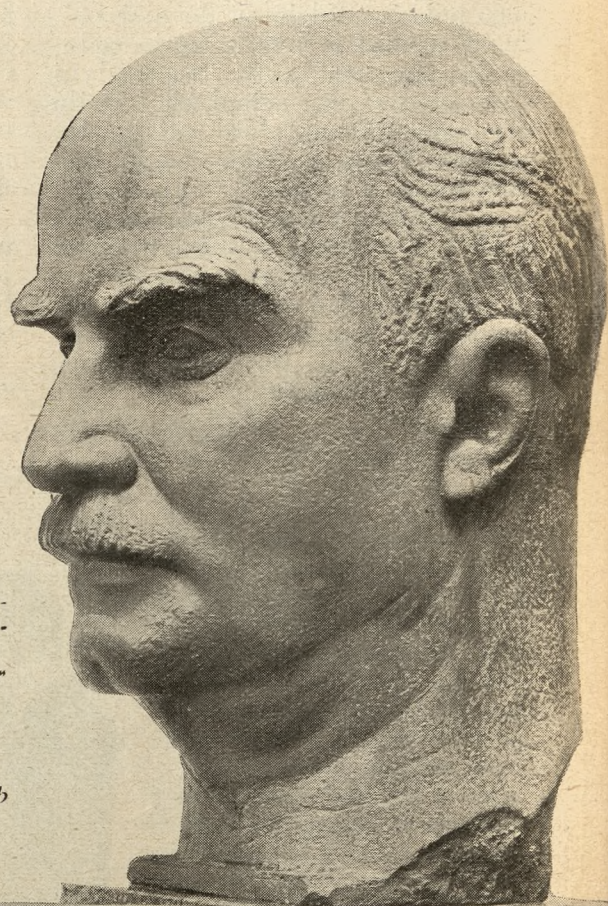


Roman Kramsztyk, „Portret Wojewody Wachowiaka”,

Keiloma Julia, „Nina” (drzeworyt)

Alfons Karay, „Emil Młynarski” (bronz na granicie).

Michał Bylina, „Sztab 2 D.K.”.

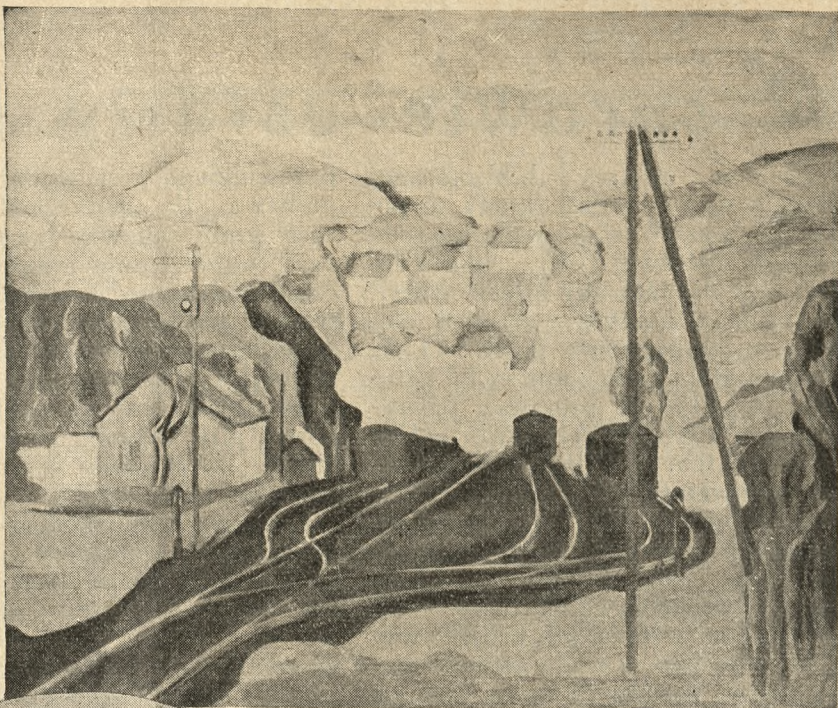


Czyż tego samego nie da się zauważyć u innych artystów? Przy dobrej woli — tak. Ale nie w formie tak przekonującej i efektownej.

Z licznych, bo aż 222 dzieł malarskich, na specjalną uwagę zasługują znakomite portrety Romana Kramsztyka, z których jeden (wizerunek wojewody śląskiego Wachowia-ka) podajemy w reprodukcji. Tadeusza Pruszkowskiego „Dziewczyna z kaktusem” jest jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu rozwojowym świetnego artysty i pedagoga. Pejzaże reprezentowane są przez Rafała Malczewskiego (pejzaż z Beskidu), Krzyżanowską, Pankiewicza (subtelne, skąpane w plein air ze krajobrazy, w których odczuwa się miękkie, wilgotny klimat Francji), Łunkiewiczową (b. nowocześnie potraktowane „Tory kolejowe”), Arcta, Bielską, Pękalskiego i innych Bylina, jedyny koniarz pośród młodych, dał nieco szablonowy „Sztab 2 D. K.”.

Z pośród młodych awangardzistów Czapski dał ciekawą kompozycję p. t. „Koncert”, w której z elementów naturalistycznych orkiestry wysnuł indywidualny nawskroś motyw kolorystyczny. Z rzeźb na pierwszy plan wysuwa się grupa „Trzy Marje” Kuny, łącząca głęboką ekspresję religijną z rytmem właściwym temu artyście. Poza tem mamy ciekawie potraktowane popiersie Montwiłł-Mireckiego i medaljon pamiątkowy Międzynarodowego Kongresu Geografów, dłota Hanny Nalkowskiej - Bickowej, świetne głowy

Alfons Karny: „Marjusz Maszyński” (bronz na granicie)
Józef Pankiewicz: „Pejzaż”



Ewa Łunkiewiczowa: „Tory kolejowe”

Emila Młynarskiego i Marjusza Maszyńskiego w bronzie i granicie — dzieło Karnego, Zofji Kamińskiej - Trzcńskiej interesującej „Portret Chinki”, i „Nina” Keilowej w drzewie.

W grafice swoistą techniką i mistycznym nastrojem pociągają drzeworyty Mrożewskiego na temat Parcifala, litografje Toma, drzeworyt Wilka-Osseckiego „Motyw z Chodzieży” i architektoniczne motywy Tadeusza Cieślewskiego (syna).

Tadeusz Pruszkowski: „Dziewczyna z kaktusem”



W sprawie ustawy bibliotecznej

Historja ustawy bibliotecznej ciągnie się od r. 1921, kiedy to po raz pierwszy została wniesiona do komisji sejmowej i odrzucona. Projekt był opracowany przez Warsz. Zw. Bibliotekarzy i w r. 1927 złożony w Ministerstwie W. R. i O. P., poczem długo było o nim cicho i głucho. Dopiero za premjera Jędrzejewicza czynniki rządowe zajęły się projektem na dobre i postanowiły wprowadzić go w życie. Przy rozpatrywaniu uległ on podobno niejednej zmianie, dziś debatuje nad nim Akad. Literatury, dalsze zmiany zapewne są możliwe. Tylko nieliczni wiedzą, jak projekt wygląda obecnie. Zasada jednak niewątpliwie została ta sama, różnice mogą dotyczyć sposobu wprowadzania w życie i niektórych szczegółów. W ogólnych zarysach zadanie ustawy bibliotecznej przedstawia się następująco:

oparcie bibliotek powszechnych o trwale podstawy finansowe;

zorganizowanie sieci bibliotecznej w ten sposób, aby książka dotarła wszędzie i do wszystkich (dla mniejszych gmin biblioteczki wędrownie z centralą powiatową, dla większych — biblioteki stałe);

powołanie przez państwo władz nadzorczych, które wraz z przedstawicielami miejscowego społeczeństwa czuwałyby nad jakością i ilością księgozbiorów oraz nad ich wydajnością;

zapewnienie bibliotekom fachowego kierownictwa;

normalizacja bibliotek i kierowanie ich na właściwą drogę rozwojową. Ustawa nie tylko tworzyłaby i obejmowała opieką nowe biblioteki, ale podciągała do wyższego poziomu już istniejącego, przyczem b-ki prywatne i organizacyj społecznych mogłyby być wciągnięte do sieci na drodze dobrowolnej umowy. Wykonanie ustawy rozkłada się na lat 10.

Przedmiotem krytyki i polemiki stał się głównie jeden punkt ustawy — zabezpieczenie podstaw finansowych, które wg. obecnego projektu obciążyłoby samorządy, a to w ten sposób, że część wydatków na biblioteki byłaby pokrywana z ogólnych funduszy gminy, część zaś (zakup książek) drogą specjalnego podatku w wysokości od 5 do 25 gr. na głowę mieszkańca.

W przymusowym obowiązku ponoszenia przez gminy kosztów utrzymania b-tek upatrują niektórzy fikcyjność i niewykonalność ustawy. Nie jest to jednak punkt tak beznadziejny, aby miała się rozbić o niego cała sprawa. Wszak

przewidziana jest wydatna pomoc państwa dla gmin biedniejszych: część gmin napewno już teraz znajdzie odpowiednie fundusze, zaś część będzie mogła starać się o potrzebne środki przez szereg następnych lat, ponieważ ustawa ma być realizowana w przeciągu lat 10-ciu i nie sposób być tak wielkim pesymistą, aby wątpić, że w niejednej gminie z biegiem czasu warunki zmienią się na lepsze.

Rzucony mimochodem w dyskusji projekt, aby państwo całkowicie wzięło na siebie koszty stworzenia sieci bibliotecznej, nie wydaje mi się słuszny, jako pozbawiony momentów wychowawczych. Pomoc jak najwydatniejsza, pomoc będąca w wielu wypadkach zachętą i podniętą — oto właściwa rola państwa, społeczeństwo zaś nie powinno się uchylać od pewnych ciężarów na cel, którego ważność i konieczność nie może podlegać dyskusji. Poniesione dziś koszty opłaca się napewno w przyszłości, dobra książka, kierowana umiejętną ręką fachowca, musi przyczynić się nie tylko do podniesienia kulturalnego, ale i gospodarczego wsi i miast, wydatki na biblioteki powinny doprowadzić do zmniejszenia wydatków na więzienia i szpitale.

Walnym i bodajże decydującym argumentem za jak najszybszym wprowadzeniem ustawy jest konieczność poparcia szkolnictwa powszechnego zorganizowaną siecią bibliotek.

Nie jest dla nikogo tajemnicą pojawiający się u nas analfabetyzm powrotny — tylko dobrze zorganizowane czytelnictwo, książka docierająca do najbardziej zaniedbanych środowisk, może położyć kres temu smutnemu zjawisku.

Prace w organizacjach wiejskich, zwłaszcza obejmujących młodsze pokolenie, są wprost nie do pomyślenia bez pomocy książki. Czy to w Kołach byłych wychowanków, roztaczających opiekę nad elementem świeżo wyszłym ze szkół powszechnych, czy w Kołach Młodzieży, jakże ważnem oparciem jest biblioteczka, jakże często staje się punktem przyciągania i ześrodkowuje zainteresowania młodzieży. Prace nad czytelnictwem wypełniają prawie całkowicie wolny czas w okresie zimowym — czy to w formie wspólnych głośnych czytań wieczornych, czy jako konkursy dobrego czytania książki.

Od kilku lat pracuję nad czytelnictwem w powiecie¹⁾, gdzie gminy co rok wstawiają w swych budżetach pewne sumy na biblioteki,

gdzie wspólnym wysiłkiem samorządu i organizacyj społecznych zdolano utworzyć sieć bibliotek wędrownych z centralą, kierowaną przez fachową bibliotekarkę. Wiem, że powiatów, posiadających zorganizowaną sieć bibliotek wędrownych, jest u nas więcej, ale wiem też, że jest i wiele takich, które nie mają nic zrobionego w tej dziedzinie, tylko wskutek niedbalstwa i braku inicjatywy odpowiednich czynników, na co właśnie ustawa byłaby doskonałym lekarstwem. To samo da się powiedzieć o gminach miejskich. Jakże znamienym jest smutny przykład gminy warszawskiej, gdzie biblioteka publiczna dusiła się prosto w niewystarczającym na potrzeby stolicy lokalu, gdzie sieć dzielnicowych bibliotek powszechnych nie odpowiadała potrzebom wielkiego miasta, a pozycje na czytelnictwo w budżecie miejskim były wciąż zmniejszane, mimo protestów ze strony bibliotekarzy. Dziś po gruntownych zmianach w zarządzie miasta wiemy, że przez lekkomyślną gospodarkę zostały roztrwonione duże sumy — pieniądze były, tylko szły na niewłaściwe cele.

Nie powinniśmy się tak długo wahać i ociągać ze sprawą, która w innych państwach Europy oddawna została pomyślnie na drodze prawnej rozwiązana. Nietylko państwa „przedwojenne”, jak Anglja, Belgja, Danja, Bułgarja, ale i młodsze, w równie trudnych jak my warunkach tworzące swą państwowość — Estonia, Finlandja, Czechosłowacja, Z. S. S. R. posiadają oddawna ustawodawstwo biblioteczne (Czechosłowacja już od 1919 r.). Ustawy są b. różnorodne, przystosowane zawsze do warunków lokalnych, a więc wkładające ciężary utrzymania bibliotek bądź całkowicie na gminy, bądź w dużej mierze na państwo, centralistyczne lub decentralistyczne zależnie od stopnia wyrobienia samorządu — pozostawiają sprawę zakładania bibliotek decyzji wyborców, lub wkładają na gminy obowiązek bezwzględny — wszystkie jednak przyczyniły się do rozwoju czytelnictwa i dały jak najlepsze wyniki. Ten przykład, tak przekonujący, powinien być jeszcze jednym powodem do rychłego wprowadzenia u nas ustawy i wyzbycia się obaw, które nic lepszego nie zbudują, a mogą jedynie odwlec sprawę. Odwlekać zaś dłużej niepodobna, przecież i tak już stoimy na szarym końcu!

¹⁾ Pow. Krzemieniecki.

Nasz lekarz

O cukrzycy i jej leczeniu

Istotę choroby, zwanej cukrzycą, stanowi nieprawidłowa przemiana materji, ściślej mówiąc nieprawidłowa przemiana węglowodanowa, czyli cukru. Następujące narządy regulują tę przemianę w ustroju:

Wątroba, z węglowodanów pokarmowych wytwarzająca glikogen t. j. specyficzną odmianę cukru zapasowego ustroju, który w miarę zapotrzebowań organizmu zostaje przekształcony na cukier gronowy i dostarczony do odpowiednich tkanek drogą krwi. Poza czynnością wydzielania żółci, gromadzenie glikogenu jest niemniej ważną czynnością wątroby.

Drugim narządem regulującym przemianę cukru jest układ nerwowy, którego działanie przenosi się albo poprzez nadnercza, będące gruczołami dokrewnymi a wydzielając hormon t. zw. adrenalinę, powodującą „uruchomienie” glikogenu w wątrobie, t. j. przemianę tegoż w cukier i przejście jego z tkanek wątroby do krwi, albo też układ nerwowy przenosi swe działanie na trzustkę i tą drogą dopiero oddziałuje na przemianę cukru w ustroju.

Rola, jaką odgrywa trzustka, ściślej biorąc jej części t. zw. wysepki Langerhansa, wytwarzające hormon t. zw. insulinę — obejmuje działanie hamujące na przemianę cukrową, tak że pod wpływem insuliny węglowodany pokarmowe ulegają szybszej przemianie na glikogen w obrębie wątroby i nie dopuszcza do trwonienia tego cennego, życiodajnego zapasu.

Gruczoły dokrewne, rozrzucone po całym organizmie, jak tarczyca, nadnercze, przysadka mózgowa (patrz Nr. 35 Bl.) wchodzą ze sobą w ścisły związek, tak więc i wysepki Langerhansa, mieszczące się w trzustce, jako gruczoły dokrewne są w swem prawidłowem wydzielaniu hormonalnem ściśle związane z prawidłowem działaniem innych gruczołów tego rodzaju.

Powszechnie znanym momentem rozpoznawczym dla cukrzycy jest zawartość cukru w moczu. Objaw ten, acz spotykany przeważnie, nie jest jednak przejawem zasadniczym. Najważniejsze to przecukrzenie krwi. We krwi człowieka zdrowego procent cukru naczecz wynosi 0,08 — 0,1%; jeśli natomiast pod wpływem nieprawidłowego działania układu gruczołów dokrewnych, w pierwszym rzędzie zaś trzustki, wątroba staje się „rozrzutną” i w nadmiarze przemienia zmagazynowany w niej glikogen na cukier gronowy, wówczas procent cukru we krwi wzrasta nadmiernie.

Nadmiar cukru we krwi powoduje w niej różne zmiany, przede wszystkim zaś powoduje zwiększenie jej lepkości, co utrudnia krążenie, to też organizm broniąc się przed przecukrzeniem — „odecukrza krew”, wydzielając go przez nerki. Sprawa ta jest nader skomplikowana, gdyż nerki jako „filtr” organizmu mogą wydzielać płyny tylko o pewnem stę-

zeniu, jeśli więc stężenie cukru krwi jest wysokie, organizm przychodzi sobie z pomocą w sposób dość prosty — wzmagą się bowiem pragnienie i tą drogą chory zwiększa ilość płynów, które muszą być z organizmu wydzielone, nadmiar zaś cukru zostaje rozcieńczony, co umożliwia wydobycie go poprzez nerki. Obok więc cukromoczu poznaliśmy drugi, często spotykany objaw cukrzycy — wzmożone pragnienie.

W ciężkich przypadkach cukrzycy organizm traci z moczem duże ilości cukru, stara się więc na drodze przemian chemicznych odtworzyć niezbędny dla życia glikogen z tłuszczów, a w ostateczności i z białek ustroju, stąd w tych ciężkich stanach dochodzi do wychudzenia oraz stopniowego zatrucia organizmu resztkami nieprawidłowo rozłożonych tłuszczów i białek. Powstaje więc zakwaszenie ustroju, a w następstwie t. zw. śpiączka cukrowa.

Początki cukrzycy bywają zwykle niewyraźne, przypadkowe nieraz badanie moczu wykazać może nawet znaczniejszy cukromocz. Z postępem choroby występuje ogólne osłabienie, znużenie — oraz silne, nie dające się ugasić pragnienie, jako objaw znacznego przecukrzenia. Podobnie i łaknienie może stać się wzmożone.

Przy silnej cukrzycy, najczęściej w przypadkach nieleczonych, występuje szereg zmian chorobowych, dotyczących skóry — jako to uporczywe swędzenie, wypryski, czyraki, a niekiedy dojść może pod wpływem złego krążenia krwi do trudno gojących się ran zgorzelinowych, zwłaszcza na kończynach dolnych. Skóra w cukrzycy zawsze jest sucha.

Nadmierne wydzielanie moczu (do 10 litrów na dobę!) oraz duże ilości wydalonego cukru (do kilkuset gramów cukru na dobę!) pozwalają łatwo zrozumieć, jak ciężkim stanem stać się może to schorzenie! Wzmożone wydzielenie cukru z moczu jest objawem przecukrzenia krwi chorego, które dojść może w przypadkach ciężkich do 1/2% cukru.

Układ naczyń krwionośnych chorych na cukrzycę wykazuje wybitną skłonność do zmian miażdżycowych, a co za tem idzie, do szeregu objawów, związanych z miażdżycą.

Tak zwaną śpiączkę — t. j. stan zatrucia organizmu pod wpływem wadliwej przemiany materji, poprzedzają nudności, brak łaknienia i wymioty, ogólne osłabienie potęguje się znacznie, poczem występuje charakterystyczny głęboki oddech, przypominający oddech gonionego zwierzęcia.

Wydechane przez chorego powietrze ma woń zgniłych jabłek, z powodu wydychania nagromadzonego we krwi acetonu, kwasu, powstałego pod wpływem złej przemiany materji, którym organizm jest zatruty. Po objawach wstępnych występuje stan śpiączkowy, chory traci przytomność, źrenice jego są nadmiernie rozszerzone, ciepłota ciała spada poniżej normy, tętno staje się drobne. Przy całym

tym stanie śpiączkowym drgawki nie występują. W razie nieleczenia śmierć w śpiączce cukrzycy jest kwestją kilku dni.

Zależnie od stanu przemiany materji cukru różnić się daje trzy stopnie ciężkości cukrzycy.

Pierwszy, naogół lekki, obejmuje te przypadki, w których objaw cukromoczu udaje się zahamować ograniczeniem podawania pokarmów węglowodanowych, drugi stopień zachodzi wówczas, gdy nie tylko trzeba ograniczyć w diecie ilość węglowodanów, lecz również i białek, trzeci zaś stopień, ciężki, gdy cukromocz daje się usunąć dopiero przy jednoczesnem stosowaniu diety i insuliny, jako środka leczniczego.

Naogół im w późniejszym wieku występuje cukrzyca, tem przebieg jej bywa złej. Przeważnie schorzenie to ma charakter przewlekły i trwa latami, mimo leczenia, choć spotyka się również przypadki o przebiegu ostrym, trwającym niekiedy tylko kilka tygodni.

W przypadkach lekkiej cukrzycy, jak już wyżej podano, ogranicza się jedynie podawanie węglowodanów, uzupełniając konieczną ilość pożywienia tłuszczami i białkami, w przypadkach średnich i ciężkich stosuje się obecnie leczenie zastrzykami insuliny — t. j. hormonu, wydzielonego przez wysepkę Langerhansa, mieszczące się w trzustce. Insulina, jak o tem powyżej była mowa, działa hamująco na „trwonienie“ glikogenu przez wątrobę, przez co przekucie krwi zmniejsza się, a glikogen pozostaje niejako przymusowo uwięziony w tkankach.

Ilość insuliny, podawanej choremu, zależy od wysokości jego tolerancji na cukier, podaje się ją w postaci zastrzyków podskórnych, najlepiej na ½ godziny przed śniadaniem i ½ godziny przed obiadem, a ilość, którą się zastrzykuje, jest ściśle zależną od tolerancji na cukier oraz od ogólnego stanu chorego. Niekiedy po kilku dniach podawania insuliny wystąpić mogą objawy przeculenia organizmu na ten środek, uzewnętrzniające się pokrzywką: wystarcza wówczas poprostu zmiana jednego preparatu na preparat innej fabryki — a objawy niemiłe ustępują wówczas bezpowrotnie, gdyż stopniowo organizm przyzwyczaja się i nie reaguje na insulinę w sposób przykry.

Leczenie insuliną daje specjalnie świetne wyniki w okresie przedśpiączkowym cukrzycy. Podaje się wówczas duże dawki insuliny, a pod jej wpływem szybko ustępują objawy zatrucia. W śpiączce samej efekt leczenia insuliną nie daje zazwyczaj tak szybkiej poprawy, jak w okresie przedśpiączkowym. W ciężkich przypadkach cukrzycy stosuje się początkowo przy jednoczesnem podawaniu insuliny t. zw. dni głodowe i jarzynowe. Dieta głodowa polega na podawaniu dużej ilości płynów, jako to: rosół czysty, herbatę lub kawę z sacharyną, lemoniady bez cukru, wody mineralne, w czasie „dni jarzynowych“ podaje się poza płynami 500 gr. jarzyn zielonych i 150 gr. rabarbaru — ze względu na niską w nich zawartość cukru. Po takich kilku dniach przekucie krwi ustępuje znacznie, tak że w dniach następnych przy jednoczesnem podawaniu insuliny możemy zezwolić choremu na spożywa-

nie węglowodanów bez obawy wystąpienia zakwaszenia organizmu przez aceton.

Dieta chorych należy zwłaszcza z początku kuracji układać z pokarmów prostych, których składniki dają się łatwo obliczyć przy pomocy tabel specjalnych — tak więc podawać mleko, mięso gotowane, ser, ryż, masło i t. p., unikając szczególnie różnych skomplikowanych zup, makaronów, sosów, których części składowe pod względem chemicznym jest bardzo trudno obliczać. Chory sam powinien znać dokładnie ilość i wagę środków, które spożywa, a nawet zaleca się, aby znał ich zawartość węglowodanową, ułatwia to bowiem samemu choremu kontrolę nad dietą, a tem samem unikania błędów dietetycznych. Różne zalecane przez wytwórnie, chleby, cukierki i czekolady dla diabetyków należy usunąć z diety, wprowadza to bowiem chorego w błąd i utrudnia konieczne ścisłe dawkowanie.

Przyczyny, wywołujące złą przemianę materji cukru, leżą albo w schorzeniu trzustki samej, np.: jej nowotwory, dalej nader ważne jest usposobienie w postaci dziedzicznej, daleko posunięta kiła, uszkadzająca trzustkę, wreszcie niedomaganie nie tylko trzustki, lecz i innych gruczołów dokrewnych, gdyż stanowią one narządy tak ściśle zespolone ze sobą pod względem współpracy, że najłżejsza niedomoga jednego wprowadza natychmiastową mniejszą lub większą dezorganizację w układzie dokrewnym.

Tak więc cukrzyca, będąca w zespole objawów typowem cierpieniem przemiany materji, ma jednakże za punkt wyjścia niedomogę gruczołów dokrewnych, a w szczególności jednego z nich, t. j. wysepek Langerhansa trzustki, wydzielających insulinę.

Dr. J. E.

BIBLIOTEKA WYDAWNICTW POLSKIEGO ZWIĄZKU
WYDAWCÓW DZIENNIKÓW I CZASOPISM

JAKO TOM III BIBLIOTEKI
wyszła z druku praca
ROMANA STARZYŃSKIEGO

„Agencje Informacyjne”

Dzieje, stan obecny i znaczenie prasowych agencji informac.
1835 — 1935

TREŚĆ:

- I. Dzieje agencji informacyjnych
- II. Międzynarodowy związek agencji informacyjnych
- III. Obecny stan agencji
- IV. Organizacja wewnętrzna agencji
- V. Technika prac agencji
- VI. Rola i znaczenie agencji w życiu politycznem

Cena egz. zł. 4.00

Do nabycia w większych księgarniach i w biurze
Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 40

O poceniu się

Do najprzykrzejszych wad skóry należy nadmierne pocenie się. Nie mówię już o wydzielanym zapachu, wystarczy samo uczucie lepkości, jakie się ma przy podawaniu ręki spoconej, ażeby zatruć życie nie tylko sobie, ale i otaczającym. Prof. Kapozi, jeden z największych znawców chorób skórnych, twierdzi, że wada ta potrafi ostudzić największy zapal młodzieńczego uczucia.

Wada ta spotyka się u osobników obojga płci różnego wieku, jednakże częściej u młodzieży żeńskiej, cierpiącej na niedokrwistość, neurastenję i t. p., na samą bowiem myśl o tej wadzie występują kropelki potu na dłoniach, pod pachami, na nosie i t. d. O ile u małodkrwistych wada ta daje się szybko usunąć, o tyle u nerwowych trwa ona długo i jest bardzo trudną do zwalczania. Czynnikiem sprzyjającym tej wadzie jest nadmierne używanie płynów, szczególnie gorących, do których należy zaliczyć kawę, herbatę, piwo, wino i t. p. trunki.

Samo wydzielanie się potu ma duże znaczenie dla zdrowia organizmu, jest ono bowiem regulatorem ciepłoty. W warunkach normalnych pot wydziela się w ilości 200 gr.—300 gr. na dobę. Jest on bezbarwny i bez zapachu. W wypadkach jednak nienormalnych zmienia się on ilościowo i jakościowo. Zapach nieprzyjemny, spowodowany bywa składnikami nienormalnymi, jak np. lotne kwasy tłuszczowe, które łączą się z bakteriami i grzybkami stale znajdującymi się na powierzchni skóry i tym sposobem dają o sobie znać otoczeniu.

Co jest bezpośrednią przyczyną nadmiernego pocenia się, trudno jest orzec, jednakże zawsze należy liczyć się z odruchowymi nerwowymi czynnikami. Dlatego też należy przedewszystkiem zwracać uwagę przy leczeniu tej wady na czynniki nerwowe, miejscowe bowiem odgrywają rolę wtórną. Następnie należy liczyć się z czynnikiem, że wada ta występuje częściej u ludzi leniwych, utuczonych z tkankami wiotkimi. To też wzmocnienie fizyczne odgrywa jedną z główniejszych ról przy leczeniu nadmiernego pocenia się. Również liczyć się należy z czynnikami ta-

kiemi, jak np. słońce i świeże powietrze. Leczenie ogólne, mające na celu zmocnienie systemu nerwowego, zajmuje tu pierwsze miejsce. Pozatem należy ograniczyć nadmierne przyjmowanie płynów przy zwróceniu specjalnej uwagi na usunięcie gorących. Następnie należy starać się wolniej chodzić, nosić chłodne i przewiewne ubranie i nie wykonywać zbyt szybkich ruchów.

Miejscowe leczenie polega na częstem myciu mydłem i stosowaniu różnych preparatów, czy to w płynie, czy też proszku.

Prof. Paschkis zaleca stosowanie pudru o składnikach następujących: Kwasu salicylowego 0,3 gr., krochmalu 0,1 gr. i talku 9,0 gr.

Specjalną uwagę należy otoczyć przestrzenią międzypalcową u nóg. Po umyciu należy je przysypać sproszkowanym kwasem bornym i między palce włożyć kawałki wyjałowionej gazy. Jednocześnie należy zwrócić uwagę na higienę bucików i rękawiczek, albowiem ciężkie, ciasne buciki, jak również skórkowe obciski i glansowane rękawiczki sprzyjają cierpieniu.

W buciki powinno się kłaść wyściółki porowate, sam zaś bucik powinien być lekki. Najlepszy jest bucik płócienny lub jedwabny, najgorszy zaś lakierowany.

Pończochy powinno się zmieniać kilka razy dziennie, przyczem nie należy kłaść noszonych i wysuszonych pończoch bez uprzedniego prania, gdyż tym sposobem pogarszamy



sprawę leczenia. Nogi należy myć 2 razy dziennie mydłem i ciepłą wodą. Po myciu przecierać należy nogi wodą kolońską, octem toaletowym, lub też specjalnie spreparowanymi przeciw poceniu się płynami.

Dr. med. Zofja Rostkowska.

Jak utrzymać dobrą linję

Wiele jeszcze kobiet nie wie, co należy robić, ażeby schudnąć.

Sama oczywiście djeta, gimnastyka czy masaże nie wystarczą. I dopiero połączenie tych trzech sposobów pozwoli osiągnąć odpowiedni rezultat.

Gimnastyka codzienna powinna trwać co najmniej pół godziny z chwilowymi przerwami dla głębokiego oddechu.

Każde ćwiczenie, wykonywane bardzo szybko i co najmniej dwadzieścia razy, musi już po pięciu minutach wywołać silne pocenie się. Sportowa bluzka wełniana i spodeńki zwiększą znakomicie działanie gimnastyki.

Następnie należy się położyć na przeciw 15 minut, przykrywając się grubym, wełnianym kocem. Stosują to zazwyczaj dżokeje w obawie przed utyciem.

Po kąpieli, ponieważ wiele kobiet nie może zdobyć się na codzienny masaż, wystarczy natrzeć się tak silnie szczotką, aby cała skóra mocno się zaczerwieniła.

Dalszym etapem będzie lekkie pokrycie skóry roztworem wody i kamforowego spirytusu, aby pory na całym ciele mogły się szybko zamknąć. Wilgotną skórę osuszamy dotykiem dłoni.

Co do diety, to bynajmniej nie chodzi tu o głodzenie się. Trzeba się tylko wyrzec tłustych potraw, lub zawierających dużo skrobi, sosów, pieczywa oraz piwa. Nie należy też pić podczas jedzenia. Pieczone mięso, jarzyny i owoce są najzupełniej dozwolone w dowolnych ilościach. Czekolady — ani kawaleczka!

O ile system ten nie odniesie skutku, trzeba udać się do doktora.

Zaburzenia bowiem gruczołowe, lub w obiegu krwi, stają się często przyczyną otyłości, a w porę zasięgnięta porada może temu zapobiedz.



TANIE FORMY BIBUŁKOWE. Administracja „BLUSZCZ” wysyła na zamówienie, po otrzymaniu należności na koszty przesyłki kwoty 30 gr. formy bibułkowe wszystkich modeli, umieszczonych w dwutygodniku. Ceny wykroi są następujące: bluzka, kamizelka, bielizna, spódnica, garderoba dziecięca — po 1 zł.; suknia, pyjama, szlafrok, kostium, płaszcz — po 1 zł. 50 gr.

Celem zaoszczędzenia kosztów przesyłki pieniędzy i zamówienia, radzimy pieniądze przestać przekazać pocztowym rozrachunkowym (w kolorze niebieskim, do nabycia w każdym Urzędzie Pocztowym w cenie 1 gr.). Na odwrocie przekazu umieścić zamówienie z podaniem numeru modelu, oraz jednej z następujących wielkości, dostosowanej do własnej figury:

I.	GORS (połowa)	44 cm.	—	BIODRA	50 cm.	—	DLUGOŚĆ	118 cm.
II.	„	48 „	„	52 „	„	„	120 „	„
III.	„	50 „	„	60 „	„	„	122 „	„

Przekazy rozrachunkowe adresować: Administracja „BLUSZCZU” Warszawa, Świątokrzyska 17 i Solec 87

Z teatrów

MISS „BA“ W TEATRZE NOWYM.

Miłość Tristana i Izoldy, Romea i Julji skończyła się śmiercią obojga kochanków, miłość Dantego do Beatryczy zrealizowała się dopiero w zaświatach, miłość Torquata Tassa skończyła się jego szaleństwem, miłość Wertera i Gustawa — samobójstwem bohaterów.

Romantyczna miłość Elżbiety Barrett i Roberta Browninga wydała cud: przywróciła do życia i szczęścia istotę, skazaną na kalectwo i żalosną vegetację.

Elżbieta Barrett, bohaterka tytułowa sztuki Miss „Ba“, wystawianej obecnie w teatrze „Nowym“, urodziła się w początku zeszłego wieku, w rodzinie, należącej do zamożnej burżuazji angielskiej. Ojciec, syn wzbogaconego właściciela plantacji na Jamajce, dawał folę wrodzonym instynktom plantatora na terenie swojej rodziny i domu. Żona jego, łagodna i słodka kobietka bez znaczenia, wydała na świat jedenaścioro dzieci, umarła wycieńczona prawdopodobnie zbyt częstym macierzyństwem. Wówczas ojciec żelazną ręką ujął ster wychowania dzieci.

Najstarsza córka Elżbieta była jego faworytką. Śliczne i utalentowane dziewczątko już w jedenastym roku życia pisało tragedje po angielsku i po francusku, a w trzynastym tworzyło poemat epicki o bitwie pod Maratonem. Nieszczęśliwy wypadek tragicznie przecina tę młodość, pełną najpiękniejszych nadziei. Wskutek upadku z konia pozbawiona niemal zupełnie władzy w nogach, Miss „Ba“ spędza odtąd długie lata, przykuta do szelonga, otoczona tyrańską opieką ojca.

który nawet w tklivości umie być okrutnym.

Chora pisze jednak w dalszym ciągu, teraz już tylko poezję, których dwa zbiorki, wydane w 1838 i 1844 roku, budzą podziw krytyki i czytelników.

Gymczasem poetka dobiega czterdziestki. Młodość i jej marzenia już są poza nią. Ma twórczość, ma sławę, więcej już niczego nie spodziewa się od życia.

Aż oto nagle, wkrótce po ukazaniu się drugiego tomiku jej poezji, 10 stycznia 1845 r. (jakże ta data będzie dla niej pamiętna), otrzymuje list pełen zachwytu od Roberta Browninga, o sześć lat od niej młodszego, już sławnego poety angielskiego, list, w którym błaga Elżbietę o pozwolenie poznania jej osobiście. Elżbieta odpowiada na list, ale przez cztery miesiące nie zgadza się na widzenie z Browningiem. Może w grę wchodzi tutaj instynkt samozachowawczy kobiety, iskra, tłąca pod popiołami dawno wygasłej załotności. Przecież, jeżeli ją zobaczy chora, zgaszona, szarą, zwiędłą — cały czar pryśnie.

Ale któż ujdzie swemu przeznaczeniu? Korespondencja między dwojgiem poetów ożywia się, wymiana myśli niepostrzeżenie przechodzi w wymianę uczuć. Na tej korespondencji oparta jest prześliczna książka Giorgii Pisani: „Jak kochano przed stu laty“, w pięknym przekładzie Zuzanny Rabskiej, luksusowo wydana z ilustracjami Bobińskiego przez Tow. Wyd. „Bluszcz“. Z tej książki dowiemy się dokładnie, jak rozwijało się to uczucie, jedynie w dziejach świata.

Konfrontacja rzeczywistości z marzeniem nie osłabiła miłości Browninga, przeciwnie rozpalila ją jeszcze bardziej. Ta miłość odwzajemniona, ale ciągle jeszcze

ze strony Elżbiety beznadziejna, sprawia cud, wprowadzający w zdumienie lekarzy. Chora zaczyna chodzić o własnych siłach, wraca do normalnego życia.

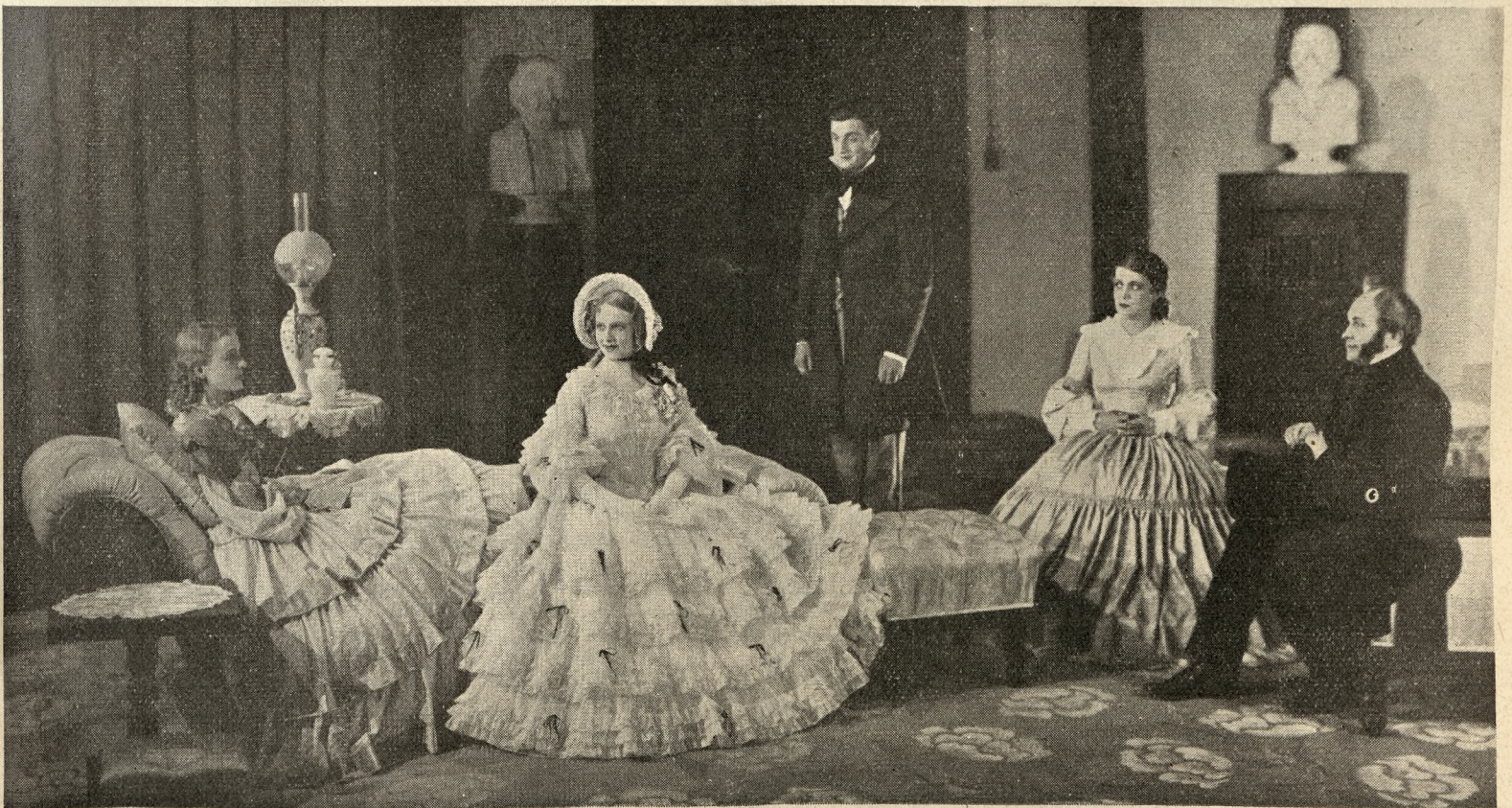
A zatem najważniejsza przeszkoda do połączenia się dwojga rozkochanych w sobie poetów — usunięta. Ale zjawia się nowa, kto wie, czy nie poważniejsza. Oto ojciec Elżbiety, oschły purytanin, stanowczo nie chce słyszeć o małżeństwie któregokolwiek z dzieci. Młodszą siostrę Elżbiety Henrykę zmusił właśnie do zerwania z kapitanem Cookiem, z którym zaręczyła się potajemnie.

Wobec zdecydowanej postawy ojca Elżbiety i Robertowi nie pozostaje nic innego, jak potajemny ślub i ucieczka. Krótka walka w duszy Elżbiety między przywiązaniem do ojca i żywiołową miłością do ukochanego. Żywił zwycięża. Zakochani biorą ślub w kościółku Panny Marii i wyjeżdżają do Włoch w towarzystwie wiernej Wilson, zaufanej pokojowej Elżbiety.

Na tem kończy się sztuka miss „Ba“. Z książki „Jak kochano przed stu laty“ dowiadujemy się jednak, że para poetów prowadziła pod jasnym niebem Italji życie pełne poezji, słońca i szczęścia, które go tak im skąpił ponury Albion. W trzy lata po ślubie urodził im się syn. Pełnia szczęścia trwa do roku 1861, roku śmierci Elżbiety. Robert, niepokieszony po jej stracie, przeżył ją o lat trzydzieści.

Tak brzmią dzieje Roberta i Elżbiety w języku rzeczywistości. A jak wyglądają one w sztuce Rudolfa Besiera Miss „Ba“? Powiedzmy prosto i bez ogródek: to nie jest sztuka o miłości Elżbiety i Roberta, ale o starym Barrecie, ojcu Elżbiety.

On jest królem Lirem, Otellem, Edypem



Scena z „Miss Ba“: Malicka, Żeliska, Pościelowski. Żabczyńska i Grolicki

i Tartuffem sztuki, demoniczną postacią, której wyrazistość i monumentalność rzuca cień na sielankę nowoczesnego Romea i Julji, a problem psychologiczny przetrasta nieskomplikowaną historję miłosną. Ten kwakier i purytanin o instynktach tyrana i mormona nie umie pogodzić radości życia ze spaczonym poczuciem obowiązku. Napiętnowany grzesznym w swoim pojęciu ogniem żądzy, którą stara się zagłuszyć okrucieństwem wobec siebie samego i rodziny, czyni ze swego domu jakiś świecki klasztor, w którym wszyscy żyją pod grozą tyrana i sadysty. Dlatego bardziej odpowiada rzeczywistości tytuł oryginału: „Barrettowie z Wimpole Street”.

Stary Barrett pogardza swemi dziećmi, z których uczynił bezwolne automaty, nienawidzi Henryki, która ośmiela się opierać jego despotyzmowi, kocha tylko Elżbietę, pocztą w miłości, podczas gdy jej rodzeństwo zrodzone zostało z obowiązku. Autor nie oszczędził nam ani jednego szczegółu wymyślnych tortur fizycznych i moralnych, jakie Barrett zadaje opornym. Począwszy od kubka wstrętnego dla Elżbiety portieru, który wmusza w nią w imię jakichś urojonych imperatywów moralnych, aż do wymuszonej na Henryce przysięgi na biblję, że nigdy nie zobaczy ukochanego — każdy jego rozkaz, każdy jego postępek zięje nienawiścią do miłości, pogody i szczęścia.

Ale i w nim budzi się serce, nierozłączne u niego związane ze zmysłami. Kiedy instynktownie wyczuł, że ktoś może mu

wydrzeć jedyne jego ukochanie: Elżbietę, dotąd asekurowaną od wszelkich pokus przez kalectwo — Katon zamienia się w Tartuffe'a. Kto wie, czy Elżbiety nie spotkałby los Beatrix Cenci, gdyby nie miłość Roberta i jego stanowcza decyzja...

Ucieczka Elżbiety staje się momentem moralnego odwetu dla jej rodzeństwa. Z okrutną ciekawością śledzą grę twarzy ojca podczas czytania pożegnającego jej listu. Stary Barrett, bezsilny wobec faktu dokonanego, chce wyładować swój gniew na ulubieńcu Elżbiety, Flushu.

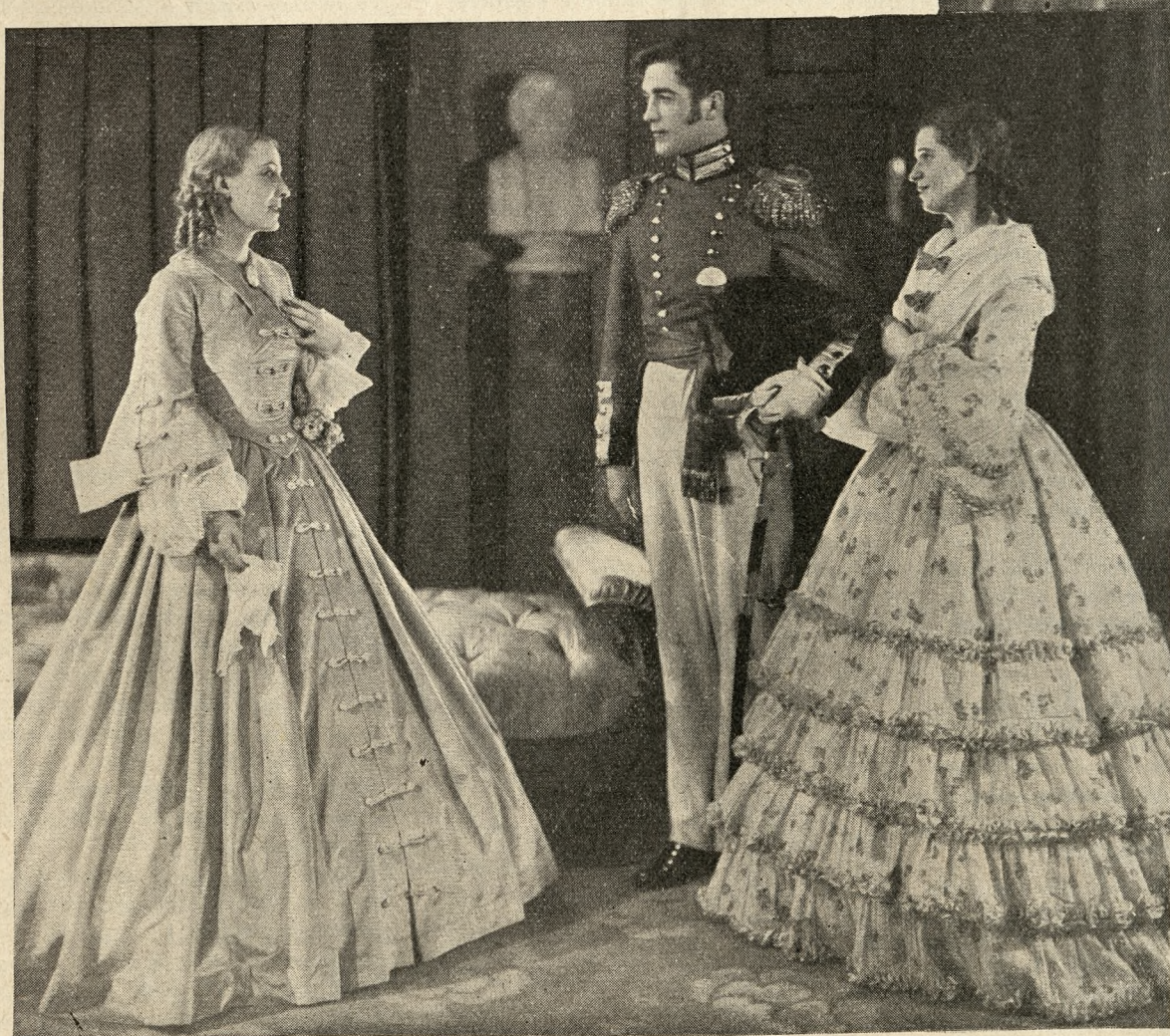
— Zabiję jej psa! — syczy z wściekłością. Ale i ta rozkosz zemsty jest mu odjęta. Elżbieta zabrała Flusha ze sobą. Skądinąd wiemy, że zawzięty starzec do końca życia odsyłał Elżbiecie wszystkie jej listy nierozpieczętowane. Jej samowolne małżeństwo z Browniegiem, to był nie tylko manifest detronizacyjny jego władzy ojcowskiej, to był śmiertelny cios, jaki zadała jego męskiemu sercu.

Starego Barretta doskonale wcielił Justjan. Wiał od tej postaci grobowy chłód i groza śmierci. Całe historyczne okrucieństwo Anglii, kazamaty zamku Tower, straszne, a jeszcze wówczas żywe tradycje niewolnictwa na kolonjach, wszystko kondensowało się w tej duszy ponurej, tak obcej naszej strukturze psychicznej.

Malicka, którą przed rokiem mieliśmy możność podziwiać w analogicznej roli w sztuce Nicodemiego „Cień”, mistrzowsko przeprowadza proces psychologicznego odrodzenia pod wpływem miłości. Wszystkie zasoby wdzięku, finezji, godności ko-



Malicka i Damięcki jako Elżbieta i Robert. Scena z „Miss Ba”.



Scena z „Miss Ba” Malicka i Wasiutyńska, w prześlicznych strojach zepoki.

biecej i opanowania Elżbiety podane były w formie, pełnej wysokiej kultury artystycznej i właściwego stylu. Brakowało tylko jednego: poetki. Ale może to wina samego autora...

Damięcki, jako Browning, buchał wulkanicznym płomieniem zwycięskiej młodości. Może trochę za kabotyński w pozach, za porywczy w ruchach, za mało opanowany jak na Anglika, ale przekonywująco żywiołowy.

Wasiutyńska i Zabczyńska dały dwa kontrastowe typy siostr Elżbiety: zbuntowanej i zrezygnowanej. Żeliska trochę przeszarżowała trzpiotowatość kuzynki Belli.

Kolekcję zahukanych synalków starego Barretta reprezentowało z powodzeniem pół tuzina młodych artystów. Rola Wilson — zaufanej pokojowej, spoczywała w niezawodnych rękach Krzymuskiej. Grolicki w roli „narzeczonego z kalendarza” i Pośpielowski, jako jękający się brat Elżbiety, z epizodów stworzyli przekonujące sylwetki.

Reżyserja „Miss Ba” miała przed sobą trudne zadanie. Z uwagi na atmosferę lokalną, tak różną od naszej, trzeba było jedno momenty wzmocnić, aby nie wyszły zbyt blado, inne stuszczać, aby nie traciły melodramatem. Wydobyc pointy dyskretnego komizmu tam, gdzie były dopuszczalne, bez narażania na uszczerbek ogólnego nastroju sztuki. To wszystko udało się w pełni osiągnąć panu Ziemińskiemu. Tylko tempo sztuki było nieco za przewlekłe, za flegmatyczne.

Dekoracje i kostjумы były dziełem ręki Węgierkowej. W urządzeniu pokoju Elżbiety mogła zastosować się ściśle do opisu, zawartego w jej listach i do kopii jej pokoju w muzeum Browningów w Londynie, na którym oparł się autor sztuki. Wolala jednak dać wewnątrz, pełne pogody, w którym połączenie ciemno-złotej czeczotki z błękitem ścian i mebli tworzyło idealne tło dla przeżytych romantycznych, niewiele jednak miało wspólnego z ponurym i ciężkim stylem wiktoriańskim. W kostjumach, zwłaszcza kobiecych, puściła Węgierkowa wodze polotowi urodzonej kolorystki. Zachowując wiernie sylwetkę biedermeierowskiej krynoliny, rozwinęła na niej także bogactwo i różnorodność tonów pastelowych, faworyzowanych przez epokę, że oko i pamięć gubiły się w tych skarbach.

Oprawa godna sztuki, co więcej godna miłości Elżbiety i Roberta.

Stefanja Podhorska-Okolów.

Zubiegłego tygodnia

To nie jest przyjemne! — Spójrzmy na mapę! — Afrykańskie niebezpieczeństwo. — Odpowiedź Berlina. — Dwie opinie. — Przewidywania.

Nie jest przyjemnie, gdy się tak człowiek budzi rankiem i wyczyta w „swoim kurjerku”, że zanosi się na wojnę. Nie jest przyjemnie, choćby ta wojna miała wybuchnąć gdzieś daleko, w Afryce. Można

sobie, nie wiem ile razy, powtarzać za dziennikarzem z „Wesela”: „Niech na całym świecie wojna, ale u nas wieś spokojna...”, sprawy te są jednak zazwyczaj bardziej skomplikowane, niżby się zdawało, i zaraz też ekscytują — cały świat. Dlatego wiadomość o zamierzonej ekspedycji zbrojnej Włoch do Abisynji nie jest, ot takim sobie, incydentem wywołanym potyczkami nadgranicznymi. Wystarczy spojrzeć na mapę tej części Afryki, żeby odrazu zrozumieć, że to nie jest sprawa błaha.

Więc — Somali na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, pokawalkowane na — włoskie, angielskie i francuskie. Otoczona tem pokawalkowaniem Somali od południowego wschodu, Abisynja, państwo niezależne. Natychmiast też nasuwa się niezbyt dalekie historyczne przypomnienie o klęsce zadanej Włochom przez abisyńskiego Meneлика w r. 1896, no — i te dzisiejsze zamiary Włoch w Afryce! Wiadomo przecież, że włosko-francuskie nieporozumienie ma swoje źródło w Afryce, oczywiście w innej części czarnego lądu. Niedawny zjazd rzymski załatał nieco te konflikty i jeżeli można wysnuwać jakieś wnioski — to chyba te, że na obecną ostrą wystąpienie Włoch wobec Abisynji nie zareagowała ani Francja, ani Anglia.

Na chwilę ujawniło się więc te wzajemności, na które „w danym wypadku” można byłoby liczyć. Włosko-abisyńska sprawa ma swój dalszy bieg, jakby się zdawało, w tempie nieco zlagodzonem. Może się rozejdzie po kościach, mówiąc trywialnie, a może z pertraktacji wyniknie — wojna. I któż może przewidzieć, że wojna ta będzie zlokalizowana?

Inna sprawa zepchnęła jednak teraz telegramy o afrykańskim incydencie na drugie miejsce. Oto odpowiedź Berlina na deklarację londyńską. Tenor tej odpowiedzi jest zgodny z przewidywaniami. Niemcy w zasadzie zgadzają się na konwencję lotniczą, popierają też dążenie do pokoju i pragną, żeby w przyszłości udało się uniknąć niebezpieczeństwa wyścigu zbrojeń. Natomiast nie widzi rząd niemiecki możliwości osiągnięcia dobrych rezultatów w powyższych sprawach zapomocą rokowań w większym gronie państw. Gdyby więc rząd wielkobrytyjski, jako uczestnik rozmów londyńskich i jako gwarant Locarna, gotów był nawiązać bezpośrednią wymianę zdań z rządem niemieckim, Berlin przyjąłby to z radością.

W odpowiedzi niemieckiej nie uwzględniono jednak tych punktów deklaracji londyńskiej, które traktują o sprawie nadunajskiej i o pakcie wschodnim. Nic więc dziwnego, że opinia francuska ocenia odpowiedź niemiecką z dużą rezerwą, konstatuując jedynie, że wyraźnie sprecyzowano w odpowiedzi dążenie do równości praw, ale to nie stwarza jeszcze — zdaniem Francji — podstawy do podjęcia rokowań. Odpowiedź niemiecka rozczarowała Francję, która liczyła na większą uступliwość. Francja mogła przekonać się z tej odpowiedzi, że projektem politycznym, w rodzaju paktu wschodniego, brak

w tym momencie realnych podstaw i że takich spraw nie można rozwiązywać jednostronnie.

Natomiast w opinii angielskiej naogół przeważa czynnik lojalności wobec Francji i pod tym kątem widzenia rozważana jest propozycja niemiecka w sprawie oddzielnych rokowań z Anglią.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Francja i Anglia skierują do Niemiec drugą notę, poczem dopiero stałoby się aktualne podjęcie rokowań angielsko-niemieckich, — oczywiście, o ile następna odpowiedź Niemiec stworzy odpowiednie do tych rokowań warunki. W tej chwili panuje w świecie politycznym, jeżeli nie konsternacja, to napewno baczne zainteresowanie.

H. N.

Przegląd Prasy

POŁOŻENIE KOBIETY ZAROBKUJĄCEJ W POLSCE.

Dzienniki podały przemówienie posłanki Zofii Zaleskiej, wygłoszone w sejmie, z którego podajemy urywki, odnoszące się do położenia kobiety zarobkującej w Polsce.

„Płace robotnicze i wielkiej masy pracowników umysłowych w Polsce nie wystarczają na zasadnicze utrzymanie rodziny (mieszkanie, pożywienie, opał, światło, odzież), nie mówiąc już o jej życiu kulturalnem. Francja i Belgja wprowadziły kasy wyrównawcze dodatków rodzinnych. Skutek był taki, że matka przy trzecim dziecku przestaje pracować, bo płaca ojca z owymi dodatkami wystarcza na utrzymanie. U nas, im w rodzinie więcej dzieci, tem więcej matka musi pracować zarobkowo.

W encyklice „40-mo Anno” papież Pius XI nazywa „hańbiącym nadużyciem” pracę zarobkową ponad siły matek, które nie są w stanie spełniać podwójnych obowiązków, „hańbiącym nadużyciem”, które „za wszelką cenę” usunięte być winno. U nas stosuje się tę „wszelką cenę” w ten sposób, że usuwa się z posad mężatki, jednocześniej nie dając mężom płacy, wystarczającej na utrzymanie rodziny. A to prowadzi prostą drogą do związków nielegalnych i znów uderza w rodzinę.

W dzisiejszych warunkach kobiety muszą pracować zarobkowo. A gdy tak jest, to powinna przynajmniej istnieć czujna ochrona pracy kobiet. Tymczasem mamy zaledwie 6 inspektorek pracy przy okręgach i 1 przy gł. inspekt. pracy. I to nie na zasadzie ustawy, tylko „instrukcji tymczasowej” z 1928 r. (par. 40) i okólnika Nr. 26 z 1951 r. Wprowadza to stan tymczasowości, zależny od każdorazowego ministra op. społ.

Fakty mówią, że istnieją nadużycia mistrów w stosunku do robotnic (znów nowy proces w r. bież.), że warunki zdrowotne w fabrykach bywają fatalne, że są rodziny, gdzie matka jest jedyną żywicielką, że wciąż istnieje ta krzycząca niesprawie-

dliwość, że kobieta za tę samą pracę dostaje o 30—45% niższą płacę. A mimo to o pomocy dla inspektorek pracy w formie opiekunek fabrycznych, które wprowadziła Francja i Włochy, ani słyhać. A mamy przecież w fabrykach jeszcze zgórą 160.000 kobiet i bezmała 6.000 dziewcząt.

Polska jest krajem dziecięcych grobów. W Holandji śmiertelność niemowląt w pierwszym roku życia wynosi 5 na 100, w Anglii 6—7, w Niemczech i Francji 7—8, w Polsce 14—15. Czytamy w sprawozdaniu, że w Polsce jest ok. 400 stacyj op. nad matką i dzieckiem, że higienistki pracują wydajnie. Mamy też państwowe szkoły położnych. A jednak po wsiach spotykamy wciąż fatalne warunki higieniczne w domach i ludność w dalszym ciągu korzysta z usług ciemnych, zabobonnych brudasów, babek wiejskich, które potrafią przyprowadzić o ciężką chorobę, a czasem o śmierć i matkę i dziecko.

Co się tyczy ośrodków fabrycznych, to kasy chorych już w r. 1933 zmniejszyły zasiłek pógowy dla matek o 50 proc., gdy matce w tym okresie nawet nie 100 proc., ale 150 proc. zarobku potrzeba. We Francji matkom przysługuje specjalny zasiłek dodatkowy, w Belgii zorganizowano społeczne ubezpieczenie macierzyństwa. U nas — zostawia się matkę z 50 proc. zarobku i do uznania kasy podniesienie tej normy, a już kasy się do podwyżki zasiłku kwapić nie będą.

SAMOBÓJSTWA WŚRÓD MŁODZIEŻY SOWIECKIEJ.

W ostatnim numerze „La Vie Intellectuelle” znajduje się artykuł poświęcony charakterystyce psychiki młodzieży sowieckiej.

Autor kreśli wstrząsający obraz stosunków, jakie wytworzyły się wśród młodego pokolenia rosyjskiego w następstwie wychowania bolszewickiego. Odpowiedzią tej młodzieży na antyreligijne i amoralne zasady wychowawcze jest samobójstwo.

„Od sześciu, siedmiu lat w łonie Kom-somolu (bolszewicka organizacja młodzieży komunistycznej) i poza jego szeregami sroży się prawdziwa epidemia samobójstw. Z początku pisma sowieckie były bardzo zatroskane są masową ucieczką od życia. Z pogardą wyrażano się o „dez-tererach życia” i ostrzegano młodzież przed naśladowaniem tych tchórzów. U-pomnienia jednak nie przyniosły żadnych rezultatów, a liczba samobójstw wzrosła. Dziś zmieniono taktykę i gazety wszelkie wypadki samobójstw wśród młodzieży pokrywają grobowym milczeniem. Dlatego trudno jest nawet w przybliżeniu ustalić liczbę tych tragicznych wydarzeń. Na samobójstwa indywidualne nie zwraca się już wogóle uwagi, mówi się jeszcze tylko o samobójstwach całych grup, „samobójstwach kolektywnych”.

Zniechęcona do życia młodzież pozostawia listy, które należą do rzędu najstraszniejszych dokumentów tragedii rosyjskiej. Oto kilka próbek: „Życie jest tak

smutne, nie mogę już dłużej wytrzymać... „Wszystko jest okropne. Rzucać się do wody, by mnie ryby pożarły i by nic po mnie pozostało... „Moglibyśmy żyć, gdybyśmy dostali obłąkania, ale możemy myśleć i to jest przerażające... Sześć młodych dziewcząt powiesiło się na jednym i tem samym drzewie. Zostawiły one list pożegnalny, w którym piszą: „Nie możemy już dłużej wytrzymać... Wszystko jest szare... Dusimy się... Rzecz godna uwagi, że, jak dotąd, owa plaga samobójstw oszczędza młodzież tatarską i innych szczepów mongolskich, którym pozostawiono względną swobodę religijną”.

HISTORYCZNY ZEGAR NA WIEŻY RATUSZOWEJ.

Jak donosi „Dobry Wieczór” wieża ratuszowa w Warszawie ma zostać rozebrana, gdyż grozi zawaleniem. Wieża ta nie jest cennym zabytkiem, to też nie będzie restaurowana. Jedynie jej wielki zegar posiada dużą wartość. Historję jego podał p. Pollack w „Expresie Porannym”.

„Zegar ten, roboty Antoniego Gugenmusa, ostatniego z dynastji Gugenmusów, którzy od Augusta III byli nadwornymi zegarmistrzami Warszawy i stworzyli szereg majstersztyków w swym fachu — mieścił się pierwotnie na wieży Marywilu.

Gdy w r. 1829 zburzono Marywil, aby na jego miejscu wybudować teatr Wielki, zegar poszedł do rupieciarni miejskiej i wydobyty z niej został dopiero w roku 1863. W roku tym, jak wiadomo, podpalona została przez organizację powstańczą część ratusza, w której przechowywano akta stanu cywilnego i spisy poborowych. Przy odbudowaniu ratusza dodano mu drugie piętro, podwyższono strażnicę i wmontowano w nią zegar Gugenmusa.

NIEDOLA 107-LETNIEJ STARUSZKI.

W Expresie Porannym z dnia 14.II 35 r. czytamy:

„Podobno u furty starego kościółka na Woli, tego, który stoi w miejscu, gdzie zginął Sowiński, żebrze 107-letnia staruszka. Podobno dogorywa u wrót kościoła nie tyle ze starości, ile z głodu... Czyżby to było możliwe, aby nie zajęła się nią opieka społeczna, ani dobrzy ludzie?

Szukam tej staruszki. Ale furta kościoła jest pusta. „Babcia” już od kilku tygodni nie ma siły dowiec się tu. Mieszka w suterenie przy ul. Płockiej 34.

Uliowała się nad nią jedynie rodzina Suleżyckich, bezrobotnych-nędzarzy.

Tak, w brudnej suterenie, gdzie mieszkańcom ledwie na miejsca stojące staroza przestrzeni, rozgrywa się tragiczny epilog pracowitego życia 107-letniej Anny Majchrowiczowej. Wyszła z małżeństwa i żyła z mężem wiernie a szczęśliwie aż do złotego wesela. Mąż brał podobno jakiś udział w powstaniu 1863 roku, zbiednieli, Anna została już u progu starości robotnicą. Ale nie narzekała, chowała dzieci, jak Bóg przykazał.

Przewrót w technice gotowania!

Niech się cieszą Panie Domu. Dokonano wynalazku, który ułatwi pracę w naszych kuchniach. Wynaleziono mianowicie szkło tak dalece ogniotrwałe, że sporządzone z niego naczynia kuchenne — patelnie, rondle, brytfanny, miski i t. p. stawia się na żarze i na płomieniu jak dawniej naczynia metalowe, bez obawy o pęknięcie.

Ułatwienie dla gospodarstwa domowego polega na tem, że proces gotowania, duszenia czy smażenia w naczyniu szklanym można ze wszystkich stron obserwować i odpowiednio poprawiać ogień czy też układ samej potrawy. Wyłącza to przypalenia, przypieczenia i t. p. kłopoty dawnej kuchni. Ponadto staje się zbędnym szorowanie naczyń, gdyż szkło wystarcza zwyczajnie umyć, jak talerz. Naczynia takie, ukazały się już w sprzedaży i u nas.

Lata biegły, mąż zmarł, powymierały córki i zięciowie, lub rozproszyli się po świecie. Anna Majchrowiczowa musiała wreszcie iść pod kościół.

— Oprać ją właśnie chcielibyśmy — mówi owa Suleżycka zażenowana. — Ale na mydło niema.

Gdzie są dobrzy ludzie? Gdzie są instytucje społeczne? Dlaczego nie trafia do suterenu domu przy Płockiej Nr. 34? Czy nie znajdzie się nikt, kto by dał pomoc i osłonił od głodu ostatnie dni życia Anny Majchrowiczowej, 107-letniej?”

ANEGDOTY.

Oto doskonałe dowcipy zamieszczone w Kurjerze Porannym.

OJCOWIE NASI.

„(t) Pan Pietrzak idzie ulicą ze swym pięcioletnim synkiem.

— Tatusiu, ja chcę rower... Kup mi rower... — nudzi malec.

— Rower?! A może autobus?! — woła ojciec ze zniecierpliwieniem.

Chłopiec rzuca na ojca nieufne spojrzenie i pyta z odrobiną nadziei w głosie:

— Tatusiu czy ty mówisz to serjo?

CIERPLIWOŚĆ.

(t) Roda Roda napisał podczas wojny do spółki z Karolem Rösslerem komedję, której cenzura nie pozwoliła jednak wystawić.

Obaj autorzy postanowili złożyć zażalenie na tę decyzję.

W ministerstwie przyjął ich jakiś srogi radca: — Zażalenie? Proszę bardzo. Ale oświadczam panom, że dopóki istnieje Austria, sztuka ta nie zostanie wystawiona!

— Dobrze — mruknął Roda Roda. — Chodź Karolu, zaczekamy jeszcze te kilka tygodni!”

Czytelniczki

nasze

prosimy, aby żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach i t. d.

Świat kobiecy

JESZCZE JEDEN REKORD KOBIECY W LOTNICTWIE

Ta młoda i strojna dama, to francuska lotniczka, panna Madeleine Charnaux, która w tych dniach pobiła dotychczasowy kobiecy rekord wysokości lotu.



SHIRLEY TEMPLE OFICEREM

Ulubiona artystka obu półkul Shirley Temple została honorowym oficerem amerykańskiego pułku.

DZIECI, KTÓRE PRZEŻYŁY NIE- ZWYKŁĄ PRZYGODĘ.

Okręt angielski Tungchow, na pokładzie którego znajdowały się dzieci angielskie, powracające z wakacji do szkoły w Chefoo, został na przeciąg 3 dni opanowany przez piratów. Zdjęcie nasze przedstawia grupę młodych pasażerek Tungchow.



EKSTAZA MUZYCZNA.

Oto posążek z drzewa z XVI w., znajdujący się w Muzeum berlińskim. Mały aniołek z uczuciem oddaje się grze na starodawnym instrumencie.



SPORT O ZBLIŻENIE MIĘDZYNARODOWE.

Oto trzy słynne łyżwiarki: Angielka, Francuska i Niemka na ślizgawce w St. Moritz.

Kobieta w świecie i w domu

SZKOLENIE GOSPODYŃ.

W dniach między 15 lutego a 15 marca r. b. odbędzie się w szkole gospodarczej w Chyliczkach, pod Warszawą, miesięczny kurs przeszkolenia w gospodarstwie domowym i hodowli kur. Kurs będzie obejmować w ogólnych zarysach wszystko to, co jest potrzebne i niezbędne w kobiecym gospodarstwie domowym z uwzględnieniem najnowszych i wypróbowanych metod nauczania i praktyki.

Na zakończenie kursu odbędą się 3-dniowe rekolekcje zamknięte dla uczestniczek.

Chyliczki znajdują się za Piasecznem pod Warszawą, przyczem komunikacja jest bardzo wygodna kolejką grójecką i wilanowską, lub autobusem.

„MISS BIEGUNA PÓŁNOCNEGO“.

Katastrofa wyprawy polarnej „Czeluski” rozgłosiła na cały świat nazwiska profesora Szmida i pilotów-ratowników Babuszkina, Mołokowa i in.

Wśród tych odważnych znajdują się nie tylko mężczyźni, lecz i kobiety. Wy różnia się wśród nich wyjątkowym hartem, odwagą i wytrwałością młoda Rosjanka, Nina Demme, z wykształcenia przyrodniczka. Dla jej pasji do okolic polarnych, profesor Samojłowicz nazwał ją „Miss bieguna północnego“.

Po dwuletnim przezimowaniu na archipelagu Franciszka Józefa, młoda uczona została mianowana kierowniczką stacji zimowej na Ziemi Północnej. Jest to rozległy obszar, doniedawna jeszcze oznaczony na mapie białą plamą.

Wraz z trzema tylko ludźmi, Nina Demme przybyła przed dwoma laty do swego lodowego królestwa na pokładzie łamacza „Russanow“.

Nina Demme i jej trzej towarzysze nie mieli czasu na próżnowanie. Układali mapę, prowadzili badania geologiczne i botaniczne. Pierwszej zimy dokonała Nina Demme wielu odkryć, podejmując dalekie wycieczki, w pojedynkę. Druga zima niewesoło się zapowiadała. Łamacz lodu „Siedow“ nie mógł dotrzeć do stacji. Trzeba było przetrwać z niewielkimi zapasami opału i żywności. Szczególniej wagi rozrywką dla dobrowolnych wygnańców północy było radio: „Z radiem nigdy niema samotności“ — notuje w dzienniku Nina Demme.

ILE KOBIET PRACUJE ZAWODOWO?

Statystyczny Instytut w Zurychu podaje interesujące dane, dotyczące pracy zawodowej kobiet. Okazuje się, że na pierwszym miejscu znajduje się pod tym względem Polska. Polska posiada 6 milionów kobiet, pracujących zawodowo, co stanowi 45 proc. ludności żeńskiej kraju. Po Polsce następuje Francja, w której pracy zawodowej oddaje się 42 proc. kobiet, później idą Niemcy (27 proc.), Węgry (26 proc.), Anglja (25 proc.), Hiszpanja (9 procent).



ś. p. Felicia Zofja z Piłsudskich Bolesławowa Kadenacowa, siostra Marszałka, (o której obszerniejsze wspomnienie zamieściliśmy w ubiegłym numerze) — w wieku dziewczęcym.

HUMORYSTYCZNE FEMINISTKI.

Tak wielki przewrót, jak rewolucja francuska wywołał oczywiście także ferment wśród kobiet: powstał w Paryżu klub kobiet, które w swych rezolucjach potępiły fakt, że mężczyźni „zachowują dla siebie całą łatwość grzechu, a skazują kobiety na trud praktykowania cnoty i domagały się równouprawnienia i płcią silną na wszystkich polach.

Deputacja tego klubu złożyła odpowiednią petycję u przewodniczącego Zgromadzenia Ustawodawczego, który w pięknej mowie oświadczył, że „Zgromadzenie będzie w swych pracach troskliwie unikać wszystkiego, co by mogło wywołać smutek lub łzy obywaterek“, odłożył jednak petycję do akt, gdzie prawdopodobnie dotychczas spoczywa w kurzu archiwalnym. Faktem jest, że Francuski jedyne bodaj w Europie, nie mają dotychczas praw politycznych i podlegają wielu ograniczeniom prawnym, gdzieindziej nieznanym.

Na prowincji ruch feministyczny przybierał nieraz zabawne formy. W normandji ustalil się zwyczaj dopuszczania kobiet na zgromadzenia publiczne, lecz miały jak w bóżnicy, osobną galerję. Nudziło im się tam, więc też w chwilach większego zapалу zbiegały na dół, aby „po obywatelsku“ ucałować jakiegoś mówcę. Przeciwno tym wynurzeniom obywatelskiego zapalu protestowali mężowie i przystawili do rtybuny straż. Wówczas mówcy z dołu kierowali się często na trybunę damską po należne im holdy. Uchwalono więc regulamin, że trybuna ma być zawsze jasno oświetlona...

ILE KAPELUSZY WOLNO KUPIĆ ŻONIE BANKIERA?

Ile kapeluszy może zamówić jednocześnie żona bogatego męża? Takie pytanie miał do rozstrzygnięcia sąd w Paryżu. Bankier B., zamożny człowiek, został zaskarżony przez właścicielkę magazynu mód, która domagała się uregulowania rachunku za pięć kapeluszy, dostarczonych żonie bankiera. Pan B. tłumaczył się, iż żona zamówiła kapelusze, nie zapytawszy go o zdanie, iż kapelusze te nie były zbyt drogie i że wreszcie nie należy do jego obowiązku regulowanie rachunku na przeszło 1000 franków za pięć kapeluszy, zamówionych w ciągu 3 tygodni.

Sąd po dojrzałym namyśle orzekł, że mąż obowiązany jest pokrywać wydatki na toalety swojej żony w takiej wysokości, jak tego wymagają względy reprezentacyjne. Żona bankiera, twierdzi sąd, musi być dobrze ubrana i może zatem nosić drogie kapelusze. O ile się zaś uwzględni, iż zamówienie na kapelusze nastąpiło w czasie, kiedy panie z tej sfery czynią zwykle większe zakupy, zamówienia sezonowe, to ilość zakupionych przez bankierową B. kapeluszy nie jest zbyt wielka.

Z powyższych racji wychodząc, sąd nakazał bankierowi uregulować w całości rachunek za kapelusze.

Wszystkim naszym Szanowanym Współpracownikom, Korespondentkom i Czytelniczkom przypominamy, że drobnych rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Osoby, pragnące uzyskać zwrót rękopisu, powinny do niego dołączyć odpowiednią ilość znaczków.

Ogrodnictwo i hodowla

JAK PODLEWAĆ ROŚLINY POKOJOWE

Odpowiedź na to pytanie jest nietylko niełatwa, ale prawie, że niemożliwa, bo żadnej ściślej recepty dać tu niepodobna. Zależy to jest nietylko od rodziny, do której dana roślina należy, od pory roku, wielkości rośliny i doniczki, w której ona jest zasadzona, ale przede wszystkim od stanu powietrza w danym mieszkaniu, od jego temperatury, uśłonecznienia, stopnia wilgociny i t. p. warunków, które z natury rzeczy w każdym mieszkaniu są inne. Poza tym zawsze pamiętać należy, iż każda roślina, jako istota żywa, ma swoją indywidualność i każda potrzebuje odrębnego traktowania.

Dlatego też, pisząc o pielęgnacji roślin, można podawać tylko ogólne wytyczne, jakby ramy, które miłośnik musi sam wypełnić pilną obserwacją swych pupilów.

Nauka podlewania kwiatów pokojowych opiera się jednak na pewnych niewzruszonych zasadach.

Pierwsza z nich będzie: mieć oczy otwarte i swoje rośliny bacznie obserwować t. zn., żadna ich zmiana nie może ująć naszej uwagi. Podlewanie musi być ściśle dostosowane do stanu rośliny.

Dalej zawsze pamiętać trzeba, że rośliny pokojowe są przez kaprys człowieka wydarte z naturalnych, przyrodzonych im warunków i włożone w inne znacznie gorsze. Są to jakgdyby mali, nienaturalni więźniowie. Zadaniem miłośnika kwiatów jest, aby to ciężkie życie kwiatów pokojowych możliwie im uprzyjemnić i uczynić je znośnym.

Jednym z podstawowych warunków powodzenia hodowli roślin w doniczkach jest odpowiednie podlewanie. Po prawidłowym wykonaniu tej czynności, która zresztą nie jest bynajmniej łatwa, poznajemy doświadczenie miłośnika. Pamiętać należy zawsze, że większość roślin pokojowych marnieje skutkiem tego, że ma wodę podaną w nieodpowiednim czasie, jakości i ilości.

Nadmierne podlewanie

Kwiaty pokojowe cierpią raczej od nadmiaru, niż od braku wody. Dlatego też hodowla roślin błotnych, co do których trzeba tylko dbać o to, aby ziemia w ich doniczkach była przesyconą wodą, zwykle jest uwieńczona powodzeniem.

Pamiętać również trzeba, że najstaranniejsze nawet podlewanie nie

na wiele się zda i nie może wydać dobrych rezultatów, jeżeli inne warunki bytu roślin nie będą odpowiednie: np. dobre, przepuszczające powietrze i odpowiedniej wielkości doniczki, ziemia pożywna i dobrana gatunkiem do potrzeb odmiany, odpowiednia temperatura i wilgotność powietrza, dostatek słońca, światła, powietrza i t. p. Duże i dobrze funkcjonujące dreny są też jednym z podstawowych warunków odpowiedniego dostarczania roślinom wilgoci.

Brak drenów skazuje roślinę na zakwaszenie ziemi, brak powietrza równa się powolnemu konaniu.

Pamiętać trzeba, iż doniczka musi być przepuszczalna t. zn. *porowata* i tak *czysta*, aby powietrze mogło swobodnie cyrkulować. Niestety prawidła te są często przez miłośników roślin lekceważone. Wieleż to razy widzi się rośliny hodowane w różnych ozdobnych wazach, lub zgoła w doniczkach polewanych glazurą, która powietrza nie dopuszcza.

Inni znów chętnie doniczki z kwiatami wstawiają do waz ozdobnych. Jeżeli to drugie naczynie jest o tyle większe, że pozwala powietrzu swobodnie cyrkulować, nie jest to szkodliwe dla zdrowia roślin, ale natomiast dla podlewania praktyczne to nie jest, gdyż nie mamy absolutnie kontroli, czy podleliśmy w sam raz, czy za dużo, czy za mało, trudno jest nadmiar wody usuwać itd.

Otwór odpływowy

Kwestja dobrze funkcjonującego otworu odpływowego jest też nieśluszenie często lekceważona, mimo

iż spełnia on bardzo ważną rolę. W naturze prawie nigdy rośliny nie cierpią od nadmiaru wody, gdyż parowanie jest szybkie, a poza tym woda ma zwykle możność odpływania do miejsc niższych, pokrytych roślinnością błotną, może uchodzić do wód głębszych i t. p.

Inaczej dzieje się w pokoju, przede wszystkim mamy tu ograniczoną i zawsze tylko minimalną ilość ziemi, która się znajduje w zamkniętym naczyniu. Poza tym jest szalenie trudno, a nawet prawie niemożliwe dawkę wody tak wymierzyć, aby było jej ściśle tyle, ile potrzeba. Otwór odpływowy działa tutaj jako regulator, który nam ów nadmiar wody odprowadza. Ale, by on dobrze swą rolę mógł spełniać, nie może być niczym zatkany. Aby się od tej ewentualności zabezpieczyć, dno jego zakładamy skorupkami.

Niestety każdy miłośnik wie dobrze, iż mimo tego otwór odpływowy często się z wewnątrz zatyka.

Wadliwe podlewanie

Podlewane do tego, aby spełniało swą rolę, musi być wykonane odpowiednio.

Wieleż się to razy widzi, jak miłośnik leje na swoje roślinki zimną wodę, wziętą prosto z kranu z góry opryskując liście, pączki, bulwy i t. p. Następstwem tego jest lichy rozwój rośliny, żółknięcie liści, gnicie bulw, opadanie pąków i t. p. niemiłe objawy, które miłośniczką kwiatów traktuje, jako dopust Boży i złośliwość rośliny. Mało któremu przyjdzie na myśl, że sposób, w jaki się ją podlewa, jest właśnie przyczyną marnienia rośliny.

W tym wypadku bowiem prawie wszystkie rośliny są zgodne: nie lubią, gdy zimną wodą moczyć ich t. zn. „znamię” lub „serce”. Są to najwrażliwsze miejsca rośliny, które, często moczone, zaczynają gnić.

Jako bardzo charakterystyczny przykład służyć tu może cyklamen, czyli fiołek alpejski. Jest to roślina bardzo trwała, łatwa do hodowli i dekoracyjna, niestety nieumiejętne podlewanie niszczy jej krasę nieraz w ciągu tygodnia, podczas gdy przy sprzyjających okolicznościach mogłaby stanowić prawdziwą ozdobę i cieszyć nas swymi kwiatami w ciągu całusieńkiej zimy.

Nieodpowiednio podlewany fiołek alpejski gnie i marnieje nadzwyczaj szybko. Wystarczy, jeśli do podlewania brać będziemy wodę



zbyt zimną, nienasyconą powietrzem, jeśli będzie moczyć bulwę, pąki, lub nawet liście. Roślina ta nie znosi również podlewania wieczornego i tego, aby stała na spodeczku, na który odciekł nadmiar wody.

Często się zdarza, zwłaszcza tam, gdzie roślina stoi w mocno ciepłym pokoju, że rozwój bakterij gnilnych następuje natychmiast. Dlatego też jest rzeczą bardzo ważną, aby w czasie podlewania miłośnik liście na bok usuwał i lał wodę wprost na ziemię. Pnie roślin, które wyrastają wysoko, naogół też nie lubią moczenia wodą. Dlatego też przy podlewaniu winno się unikać moczenia zarówno liści jak i pieńków.

Z częstym stosowaniem prysznicy podczas podlewania tylko bardzo niewiele roślin walczy zwycięsko. Wszystkie roślinki delikatniejsze chorują i marnieją od tego. Wodę lać trzeba więc wolnym strumieniem, możliwie jak najbliżej brzegu doniczki, a należy unikać polewania samej rośliny. O tej zasadzie nigdy zapominać nie wolno.

Aby więc przy podlewaniu unikać tego nie milego w następstwach moczenia rośliny, posługujemy się polewaczkami, które mają długie, mocno wygięte i dość wąskie rurki. Sitko nakładamy na taką rurkę tylko w wyjątkowych okolicznościach.

T. zw. „prysznica“ używamy tylko wtedy, gdy chcemy roślinkę obmyć z kurzu i t. p., oraz w czasie pierwszych podlewań po przesadzeniu, wówczas posługujemy się sitkiem, że idzie o równomierne ciśnienie na całą powierzchnię ziemi, tak aby woda doskonale wszelkie luki w korzeniach wypełniała.

1) Za każdym podlaniem należy roślinie dać taką dawkę wody, aby ona całą bryłę korzeniową doskonale objęła. Roślina musi być w doniczce tak zasadzona, aby brzeg jej od powierzchni ziemi dzieliła przestrzeń przynajmniej 2 cm. Należy więc zawsze mieć to na uwadze w czasie przesadzania roślin. Jeśli tego warunku nie zachowamy, podlewanie będzie strasznie kłopotliwe, bo będzie trzeba wodę dosłownie kroplami dawkować. Pamiętać należy, iż bardzo często się zdarza, że w czasie podlewania nie przepajamy wodą całej bryły korzeniowej — jest to bezwzględnie dla rośliny szkodliwe i ujemnie się odbija na jej zdrowiu. Dlatego też najlepiej podlewać tak mocno, aż woda dolnym otworem zaczyna wypływać na spodeczek. Wodę ze spodeczka należy w krótkim czasie zlewać. Czynności tej nie lekceważyć, bo dłuższe stanie na spodecz-

kach z wodą jest dla większości roślin szkodliwe.

Przedewszystkiem istnieje niebezpieczeństwo, że roślina przyzwyczai się do pobierania wody od dołu, dostosuje do tego swoje korzonki, wysyłając je ku otworowi doniczki. Następstwem tego może być zatkanie otworu drenowego. Z drugiej zaś strony pozostawiona na spodkach woda szkodzi roślinie przez to, że tamuje dostęp powietrza od dołu. Przez to oddychanie korzeni jest nieprawidłowe, bo powietrze nie ma dostępu od dołu. Istnieje dalej niebezpieczeństwo zakwaszenia ziemi, co jest dla rośliny szkodliwe i często powoduje gnicie korzeni. Między jednym podlaniem a drugim ziemia w doniczce powinna dobrze przeschnąć. Jednak w tym względzie przesadzać nie należy i nigdy nie dopuszczać do tego, aby roślina z braku wilgoci zaczęła więdnąć.

Przesuszenie rośliny.

Gdy roślinę przesuszamy, to często się zdarza, że ziemia zbija się mocno i zaczyna od brzegów doniczki odstawać. Między ziemią a ścianką doniczki powstaje luka. Wtedy łatwo może się zdarzyć, że, gdy taką doniczkę podlejemy, to woda bardzo szybko spłynie na spodek, nie zwilżywszy bryły korzeniowej. W tym wypadku woda, spływająca na spodeczek, bynajmniej nadmiaru podlania nie oznacza.

Istnieją doskonałe podstawki, które są tak zbudowane, że ściekająca woda nie szkodzi roślinkom i nie wymaga natychmiastowego podlewania, przeciwnie, gdy ją zostawimy, to paruje, dostarczając wilgoci powietrzu. Wadą ich jest to, że są wywrotne.

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO - HODO- WLANEGO

P. CELINA WISLIŃSKA — WILNO.

Kaktusiki otrzymałam w takim stanie, że nie możliwe było określić, co im dolega. Sądząc z opisu, wdała się zgnilizna skutkiem nieodpowiedniego podlewania i egzemplarz ten jest prawdopodobnie stracony. Aby ten sam los nie spotkał i innych ulubieńców Sz. Pani, podaję krótkie wskazówki podlewania kaktusów.

Najważniejszą kwestją dla amatorów jest zagadnienie podlewania kaktusów. Nie jest słuszne mniemanie, że kaktusy, jako rośliny bardzo soczyste, nie wymagają prawie zupełnie podlewania. Są wprawdzie okresy, kiedy podlewanie rzeczywiście zmniejszamy do bardzo małych i rzadkich dawek wody, ale też w innych

wypadkach kaktusy wymagają obfitych ilości wody.

Otóż ilość wody, jaką należy dostarczać kaktusom, zależy od trzech czynników:

1) Wiek rośliny.

2) Pora roku.

3) Rodzaj pomieszczenia, gdzie rośliny przebywają.

Młode kaktusy, szybko rosnące, a więc wyparowujące duże ilości wody, wymagają też dużo wilgoci. Natomiast starsze okazy o powolnym przyroście potrzebują o wiele mniej wody, a nawet zupełnie dobrze znoszą zasuszenie przez pewien czas.

Na wiosnę następuje u kaktusów, jak zresztą u wszystkich roślin, okres intensywnego wzrostu. Wówczas rośliny powinny być obficie podlewane i nie wolno dopuszczać do zasuszenia przez pewien czas.

W okresie letnim dawki wody także powinny być dosyć duże. Dobrze jest latem, oprócz podlewania, spryskiwać rośliny, zwłaszcza w dniu upalnym.

Ku końcowi lata i na początku jesieni zmniejszamy stopniowo ilości wody dostarczanej roślinom, gdyż wzrost kaktusów stopniowo słabnie, aż wreszcie w zimie zupełnie ustaje. To też w tym okresie dajemy roślinom możliwie mało wody i to w rzadkich dawkach. Najlepiej na zimę umieścić rośliny w pomieszczeniu chłodniejszym o temp. 5—10° C., a to w tym celu, żeby kaktusy nie przyrastały. Gdybyśmy na zimę umieścili kaktusy w ciepłym miejscu i obficie podlewali, mogłyby one zacząć wzrastać, a podczas pochmurnych dni zimowych wyciągałyby się nadmiernie, tracąc charakterystyczny dla danej odmiany kształt. W miarę zbliżania się wiosny stopniowo zwiększamy ilości wody tak, aby w okresie intensywnego wzrostu dawki wody były znowu dostatecznie obfite.

Oczywiście latem podczas dłuższego okresu pochmurnych, dżdżystych dni należy podlewanie odpowiednio zmniejszyć, a zimą w dzień słoneczne podlewać nieco więcej.

Jeżeli mieszkanie jest suche i ciepłe, i kaktusy są umieszczone na południowym, słonecznym oknie, należy je podlewać więcej; jeżeli zaś lokal jest zimniejszy, gdzie słońce nie dochodzi, dajemy mniej wody. Polecić można książeczkę wydaną z cyklu „Życie praktyczne“ p. t. „Hodowla kaktusów“ przez Tow. Wyd. „Bluszcz“.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani Celinie Wiślińskiej w Wilnie.

W Nr. 6 „Bluszczu“ z dn. 9. II. znajdzie Szan. Pani korespondencję z Grodzieńszczyzny, a w niej informacje o sprawach, które Panią interesują. Odpowiedzi na inne zapytania będą zamieszczane w odpowiednich działach.

Dom i gospodarstwo

SALDO KARNAWAŁOWE

Saldo karnawałowe niezawsze bywa radosne. Jego smutną stronę rozpatrujemy zazwyczaj już w okresie wielkopostnej wstrzemięźliwości, strzegąc zazdrośnie ostatnie tchnienia karnawału przed minorowymi nastrojami.

Tymczasem, jeżeli myślimy o wyrównaniu jakichś rachunków, to tylko towarzyskich. Bawiliśmy się z innymi i u innych, chcemy ich przyjąć u siebie, a to nie zawsze jest tak proste, jakby się wydawało.

Warunki mieszkaniowe, lub materialne stają nieraz na przeszkodzie naszym najgorętszym pragnieniom.

Wprawdzie przysłowie mówi, że gościnność rozszerza ściany, jest to jednak przenośnia, która nie zmniejszy np.: kłopotu pomieszczenia dokoła stołu jadalnego szczupłej, nowoczesnej jadalni gro-na osób, jakie chciałbyśmy ugościć, nie przyczyni się również do „rozszerzenia” ram czyjegoś budżetu, jeżeli jego ramy są, tak jak to dzisiaj naogół bywa, bardzo ścieśnione.

Ale że dobra wola i zaradność kobieta cuda czynią, przeto i z tego rodzaju kłopotami musimy dać sobie radę.

Wielką pomocą staje się tutaj współczesne urządzenie mieszkania, eliminujące łóżka. *Pokój*, czy *pokoje* z tapczanami nie robią nigdy wrażenia sypialnych i mogą stać się z łatwością reprezentacyjnymi. To też zyskujemy na terenie, rozmieszczając w nich, zarówno gości rozmawiających, jak i grających w bridge'a.

Organizując przyjęcie, staramy się przede wszystkim dobrać towarzystwo w sposób, gwarantujący towarzyską harmonję. Niech to będą: sami „dotknięci” nagminną epidemią bridge'a; sami niegrający (co zdaje się być nieosiągalne!), albo też podzieleni proporcjonalnie na: grających i niegrających.

Sytuacja staje się najtrudniejsza wtedy, jeżeli jedna, dwie osoby pozostają „bez przydziału”, bo gdyby nawet pani domu należała do najbardziej uroczych, cały długi wieczór, spędzony na rozmowie jedynie z nią, musi zatracić cechy podniecającej wyobraźni atrakcji, której zawsze jednak oczekujemy od przyjęcia na większą skalę.

A strona kulinarna?

Tę rozwiążemy w sposób najłatwiejszy. Gorąca „zasiadana” kolacja to już dzisiaj przywilej tylko domów, prowadzonych na dużą

skalę, domów, dysponujących reprezentacyjnym mieszkaniem, służbą dobrze wyszkoloną, budżetem o gutaperkowej rozciągliwości. Mogą sobie na to pozwolić dwory wiejskie o zasobnych spiżarniach i rozległych jadalnych pokojach, wreszcie uprzywilejowane domy miejskie, które nie potrzebują liczyć się z ogólnie panującymi kryzysowymi nastrojami.

Przeciętny dom współczesny sięgnie po najmiłą, najłatwiejszą formę — *zimnego bufetu*. Ten typ przyjęcia ma wiele dobrych stron: pozwala „nakarmić” liczną rzeszę pomimo szczupłego terenu; obchodzi się łatwo bez wyszkolonej służby; nie pochłania pani domu do ostatniej chwili; daje duże pole do rozwinięcia pomysowości i wykazywania skali naszej kultury kulinarnej.

Ambitna pani domu pomyśli przede wszystkim o uniknięciu szablonu i nie zapomni o tem, że dzisiaj punkt ciężkości przyjęcia nie polega bynajmniej na nadmiarze, ale na jakości i to nie jakości kosztownej, a pomyślanej i podanej w sposób pomysłowy, kulturalny, estetyczny i nieszablonowy.

Te omówienia każą nam zgóry przesądzić pewne potrawy. Trudniej jest bowiem poradzić, *co trzeba dać*, niż *czego należy nie podawać*.

Otóż przede wszystkim w wieczornym zimnym bufecie nie powinno być potraw o typie czysto dziennym, ciężkim. Wykluczmy: flaki, bigosy, parówki i pokrewne im, może amatorskie, jednak ciężkie i nieodpowiednie dania.

Natomiast wszelkie pomysły, wykwintne: *zapiękaniki*, *galarety*, *salaty i sałatki*, *marynaty*, *zimne sosy*, *paszteciki*, dobrze przyrządzone, umiejętnie podzielone i pięknie przybrane *zimne ryby i mięsa*, *owoce i domowe słodczyce*, broń Boże nie do znudzenia szablonowe ciastka cukiernicze — oto dziedzina, z której można czerpać pomysły, tworząc na ich temat przeróżne indywidualne dania.

Słodki bufet, który jest *pointe'a* posiłku, zyska na tem, jeżeli nie pójdziemy po linji najmniejszego oporu i nie zadowolimy się jakimś przesłodkim, nasyconym sztuczną esencją ponczową, tortem cukierniczym, czy nieszczęsną (smakowo), a najłatwiejszą do przyrządzenia galaretką ze sztucznych proszków. Jest tyle domowych przysmaków, dostępnych (tak z punktu widzenia samego przyrządzenia, jak i kosztu), dla każdego nieomal domu, że po-

winno im się zawsze dać pierwszeństwo.

Jeżeli przyjęcie przewiduje tańce, najmilej będą widziane *lody*, albo *krem mrożony*. Przy bridge'u, w dobrze ogrzanym, zadymionym zwykłe pokoju, cudownie smakuje *sałatka ze świeżych owoców*. Zawsze i niezmiennie powitamy radośnie dobre kruche, cieniutkie *faworki domowe*. Stół bufetowy przesłicznie przybiorą świeże owoce i galaretki, z soku owocowego z dodatkiem wina, podane w ozdobnie wyciętych skórkach mandarynkowych. *Domowy tort* — tylko nasza specjalność — nie spotykany na innych stołach, będzie ciekawem uzupełnieniem podanej na zakończenie trudów bridge'owych: *herbaty*, albo *czarnej kawy*.

Nie należy też bagatelizować napoi.

Dobra nalewka; likier domowy; kruszon umiejętnie przyrządzony; filiżanka prawdziwie smacznego, gorącego *barszczu*; herbata i kawa godnie odpowiadające swojemu zadaniu, to wszystko uzupełnienia, które mają dar podniesienia, albo obniżenia skali przyjęcia. To samo i z *winami*. Jeżeli je podajemy, trzeba umieć zachować swoistą gatunkom wina temperaturę, aby mogły dać pożądaný efekt. Naprzykład: czerwone wino zimne, a białe, niedostatecznie ochłodzone, tracą swoje najcenniejsze cechy smakowe.

Doświadczenie uczy, że sprawę przyjęcia trzeba koniecznie przemyśleć zawnazu. Nawet przy daleko idących możliwościach budżetowych „ostatnia chwila” bywa najczęściej złym i niepotrzebnie kosztownym doradcą. Cóż dopiero jeżeli musimy stosunkowo małym nakładem dokonać wielkiego dzieła. Wtedy czas cuda czyni, pozwala przede wszystkim obmyśleć szczegółowy, doskonale zestawiony plan kampanji, a poza tem ułatwia korzystne nabycie produktów pierwszorzędnej wartości i precyzyjne przerobienie ich na smaczne, efektowne, estetyczne dania.

Wprawdzie niespodziewane projekty dają często idealne wyniki, ale takie traktujemy specjalnie: ani my, ani osoby u nas zgromadzone nie przywiązujemy wówczas tej specjalnej wagi do całokształtu, który wobec przyjęcia mniej, lub więcej reprezentacyjnego, powinien być nienaganny.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy kulinarne

Przysmaki karnawałowe.

Faworki kruche myśmienite. Porcja: 75 dkg. mąki pszennej, 4 dkg. masła, 6 dkg. cukru pudru, 10 żółtek, 5 jajek, kieliszek araku, półtorej łyżki śmietanki kremowej. Cukier puder z wanilią do posypania faworków. 2 do 2½ kg. szmalcu do smażenia. Szara bibuła do osączenia.

Ciasto na faworki musi być doskonale wyrobione, a po wyrobieniu rękami na stolnicy jeszcze wybijane przez kilka minut wałkiem. Gotowe trzeba zgromadzić w kulę, nakryć miseczką i pozostawić w spokoju 10 minut.

Samo „robienie” faworków jest sprawą precyzyjną i odpowiedzialną. Musi być wykonane umiejętnie i w pośpiesznym tempie, żeby ciasto nie wysychało, bo wówczas, rzucone na tłuszcz, nie będzie rosło. Dlatego też trzeba robić faworki w dwie osoby. Jedna wałkuje i wycina, druga smaży.

Przystępując do wałkowania pierwszej partji, trzeba już mieć szmalec rozgrzany w dużym, płaskim rondlu. Wałkować niewielkie kawałki ciasta i to wałkować cienko, krajać je na długie paski mniej więcej na dwa palce szerokie. Każdy taki pasek dzielić poprzecznie na kawałki 10 cm. długie. Pośrodku robimy krótkie podłużne nacięcie i przeplatamy przez nie ciasto. Krajać najlepiej zębątem kółkiem, bo takie faworki najładniej wyglądają. Gotowe faworki rzucać momentalnie na rozgrzany szmalec, nie powinny leżeć ani chwili.

Usmażone na złoty kolor wyjąć ostrożnie dwoma widelcami ze szmalcu, osączyć, ułożyć na sicie, wysłanem szarą bibułą, a gdy dostatecznie osiagną z tłuszczu, układać na półmisku i cukrować pudrem z wanilią, przez gęste siteczko.

Chcąc uchronić szmalec przed przepalaniem, od którego ciemnieje, trzeba rzucać w czasie smażenia talarki surowych obieranych kartofli, które doskonale obniżają temperaturę tłuszczu.

Wyśmienite andruty czekoladowe (na przedce). Chrupkie andruty przesuszyć w letnim piecyku (leżąc dłuższy czas w sklepie, czy u nas w mieszkaniu zwykle wilgna). Wyjąć z pieca, wystudzić, przełożyć w chwili podawania kremem czekoladowym, pocukrować pudrem z wanilią, ułożyć zrecznie na głębokim szklanym, albo kryształowym talerzu. Podawać do czarnej kawy, kremu, albo lodów.

Krem czekoladowy. 3 żółtka utrzeć do białości z 10 dkg. cukru pudru. 5 dkg. dobrej czekolady utrzeć na tarce, wsypać do rondelka, włożyć ¼ kg masła deserowego, postawić na parze, żeby się czekolada razem z masłem rozgrzała i rozpuściła. Do utartych żółtek wlewać po trochu masło czekoladowe i ciągle ucierać łyżką drewnianą, dopóki krem nie stanie się jasny i pulchny. Dla podkreślenia wyrazi-

stości smaku można dodać jeszcze łyżeczkę wyborowego kakao w proszku. Najodpowiedniejsze do przekładania kremem są andruty wedlowskie w formie wachlarzyków. Chrupkie, wykwentne w smaku, delikatne dają się przytem doskonale rozdzielić cienkim nożykiem na dwie cieniutkie części, z których jedną smarujemy dosyć grubo kremem, a drugą kładziemy na kremie, formując w ten sposób wyborne, wykwentne w smaku i nieszablonowe ciastko.

Tort ananasowy. Porcja: 12 jaj, 40 dkg. cukru pudru, 40 dkg. mąki kartoflanej, 40 dkg. masła deserowego, 10 dkg. słodkich migdałów, 10 sztuk gorzkich migdałów.

Utrzeć żółtka z cukrem, gdy już pulchne i białe, dodawać po łyżce mąkę kartoflaną i nadal ucierać, wreszcie wsypać słodkie i gorzkie migdały, doskonale wymieszać. W gotową masę lać po łyżce sklarowane i wystudzone masło deserowe, ucierając nadal masę tortową wałkiem drewnianym. Na samym końcu dodać pianę z białek, lekko wymieszać.

Odpiec z tej masy 4 cienkie kręgi w tortownicach wysmarowanych masłem i wysypanych bułeczką tartą. Po wyjęciu z pieca kręgi wystudzić, przełożyć kremem ananasowym, po wierzchu polukrować tort pomadką ananasowo-poncezową i przybrać kawałkami osmażanego w cukrze ananasa i renklodami osączonymi z syropu.

Krem ananasowy. 6 żółtek, ¼ kg cukru pudru, ½ kg masła deserowego, kieliszek mocnego araku, 6 łyżek osączonej z soku konserwy z siekanego ananasa.

Utrzeć żółtka z pudrem do białości. Masło rozgrzać na parze, wlewać do żółtek i ucierać w chłodzie pół godziny. Do gotowego kremu wlewać po łyżeczce duży kieliszek araku ciągle jeszcze ucierając, wreszcie dodać konserwę ananasową, wymieszać.

Lukier pomadkowy. Osiąć ½ kg wyborowego cukru pudru (rafinerji lubelskiej), wsypać na misę. Zagotować sok ananasowy (od ananasa z konserwy). Zalewać puder wrzącym sokiem, uważając, aby unormować odpowiednio gęstość lukru, powinien być tak gęsty, jak smożony lukier pomadkowy. Ucierać pół godziny wałkiem porcelanowym, albo drewnianym, dodając po trochu kieliszek araku. Lukier taki jest niezawodny i nie ustępuje ani smakiem, ani wyglądem pomadce smażonej, która tak często staje się przyczyną kłopotów i zawodu.

Polukrowany tort ubrać ozdobnie ananasem, renklodami osmażanymi w cukrze, albo kompotowymi starannie osączonymi z syropu, kandyzowanymi czereśniami, skórką pomarańczową.

Tort migdałowy z kremem. Porcja: 40 dkg. migdałów słodkich, 40 dkg. cukru pudru, 10 białek.

Sparzyć migdały wrzącą wodą, trzymać we wrzątku pod przykryciem kilka minut, obrać ze skórek, wypłukać w zimnej wodzie, osączyć, rozsypać na serwetce, żeby

doskonale wyschły. Suche migdały zemiać na młynku, wymieszać z cukrem pudrem, wkońcu ze sztywno ubitą pianą z 10 białek.

Podzielić tę masę na dwie równe części, rozpostrzeć ją na przygotowanych wcześniej dwóch kręgach białego papieru, położyć na blasze od pieczenia ciastek, wsunąć do średnio-gorącego pieca, upiec na jasno-złoty kolor. Gdy kręgi przestygną, odwrócić papierem do góry, zwilżyć papier leciutko pędzelkiem maczanym w zimnej wodzie, a wówczas z łatwością da się zdjąć. Przełożyć kręgi kremem, złożyć w jedną całość, obciągnąć pomadką czekoladową, przybrać całami migdałami.

Krem migdałowy. 25 dkg. migdałów słodkich, 15 dkg. cukru pudru, 20 dkg. masła deserowego, łyżeczkę od herbaty kakao w proszku, 2 łyżki słodkiej śmietanki kremowej.

Sparzone i obrane ze skórek migdały rozsypać na bardzo czystej blasze, wsunąć do gorącego pieca, zrumienić na złoty kolor. Zemiać na młynku, wsypać na donicę, ucierać wałkiem drewnianym, dopóki nie wytworzy się wilgotna oleista masa. Oddzielnie utrzeć na pianę masło z cukrem pudrem, dodać do niego migdały, kakao, wymieszać, wlewać stopniowo słodką śmietankę i ucierać jeszcze chwilę. Kremem tym przełożyć kręgi, a po wierzchu polukrować tort pomadką czekoladową, przygotowaną z czarnej czekolady z bloku rozpuszczonej w wodzie, albo mleku. Po zdjęciu czekolady z ognia dodać kawałek masła deserowego, co nadaje pomadce piękny połysk.

Cocktail „Paradis”. 2 kieliszki soku wyciśniętego z pomarańcz (sok przecedzić). 2 kieliszki Gin’u. 2 kieliszki likieru Abri-cotine. Doskonale zmieszać, zamrozić.

Cocktail Aero-Klub. 2 kieliszki gorzkiej pomarańczówki. Sok z jednej malinowej pomarańczy. Szklaneczka (szampanka) Vermouth’u. Szklaneczka białego Kirschu. Zmieszać, zamrozić. Podając, kłaść do każdego kieliszka plasterki pomarańczy malinowej ze skórką.

Ponez pomarańczowy. Wysokie, niezbyt wąskie kieliszki napelnić w ¾ lodami pomarańczowymi, wlać kieliszek mocnego białego araku. Przykryć łyżką bitej śmietany, zamrożonej z drobno siekaną skórką pomarańczową, osmażoną w cukrze.

Kruszon pomarańczowy oszczędny. Cztery dojrzałe, soczyste pomarańcze malinowe pokrajać na cienkie plasterki, odrzucając starannie pestki. Ułożyć na dnie dzban szklanego, przesypując cukrem tłuczonym z głowy. Gdy się cukier rozpuści i przegryzie z sokiem owocowym, wypełnić dzban w ¼ zawartości drobno tłuczonym lodem sztucznym, włożyć dwie łyżki pięknych, osączonych z syropu konfitur truskawkowych, wlać trzy butelki krajowego wina owocowego półsłodkiego i pół szklanki białego Kirschu, albo likieru Abri-cotine. Podawać, zanim się lód rozpuści.

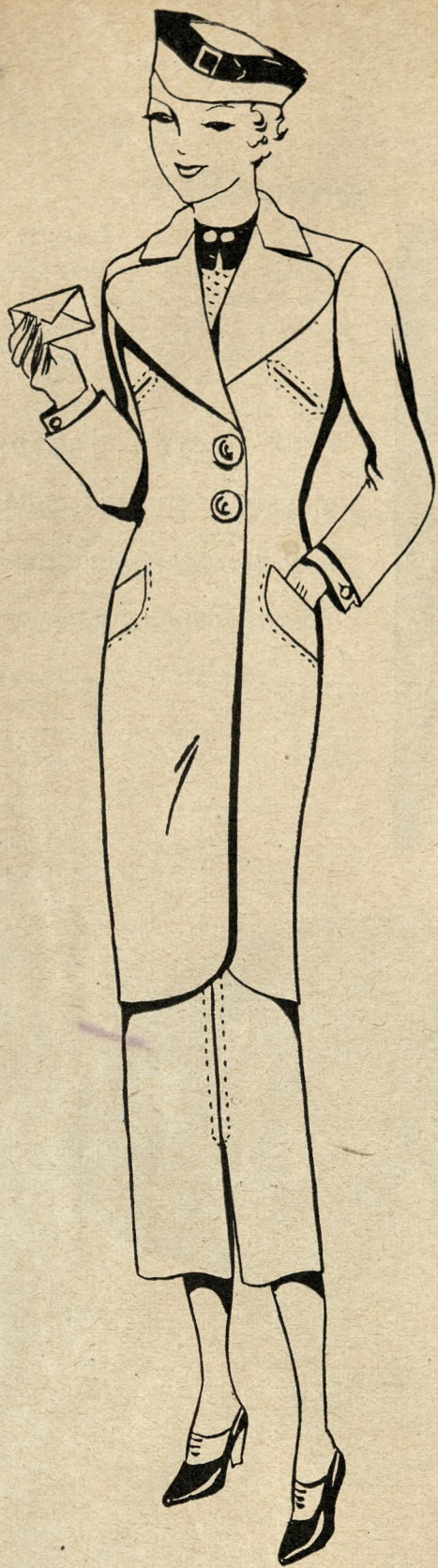
Melba.



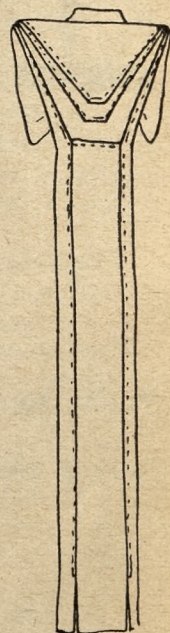
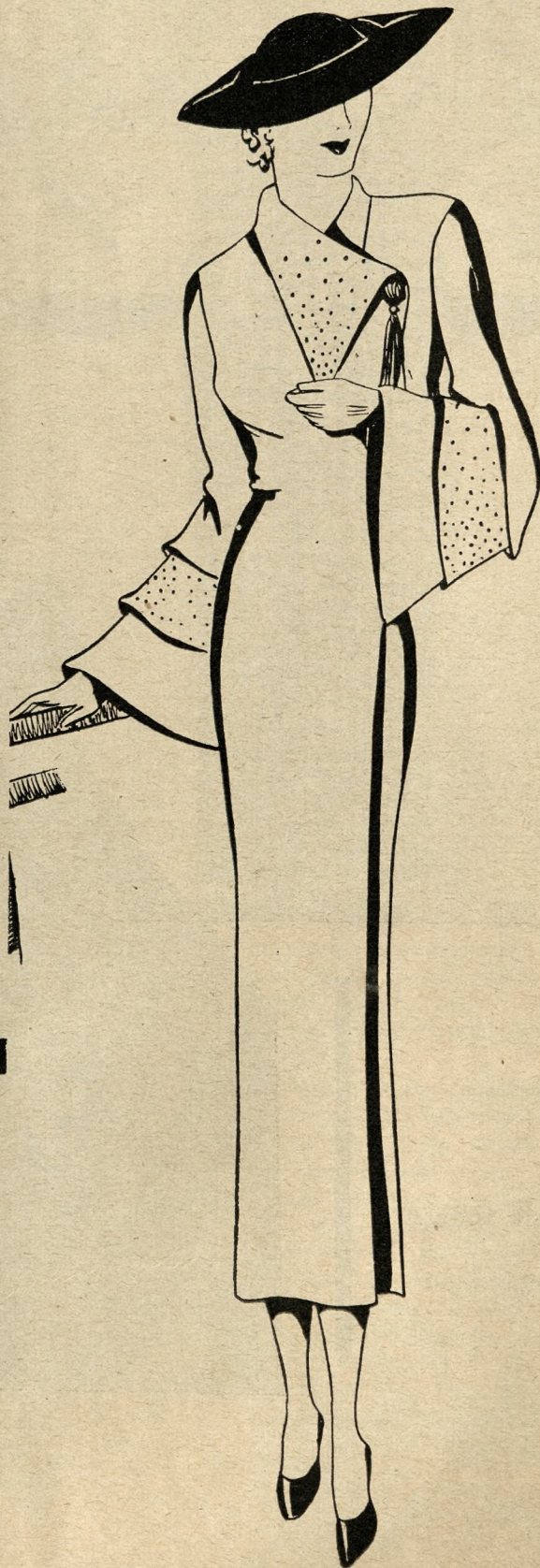
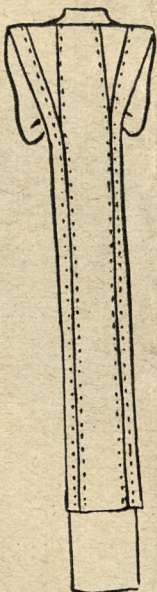
Praktyczny i elegancki
płaszcz z grubego materia-
łu w brązowo-białą pepitkę
odpowiedni na przedwiośnie.

Modny kapelusik space
rowy z ciemnego filcu.





Elegancki popołudniowy płaszcz z szarosrebrzystej wełny. Rękawy rozszerzone u dołu. Plisy na rękawach i górny wylóg zahaftowane w drobne punkciki. Zapięcie przy szyi stanowi jedwabny chwast.



Kostjum angielski z granatowego kamgarnu. Kieszenie na piersi przecięte, dolne naszyte.



Skromna sukienka z ciemno-zielonej wełny ze stebnowanym paskiem z tego samego materiału i kołnierzykiem z białej piki lub kremowego jedwabiu.



Elegancki wizytowy płaszcz z piaskowej wełny. Przód i tył skrojone w ten sposób, że tworzą się dwie fałdy klozowe. Kołnierz i naszyta na rękawach z agneaux rasés, albo innego letniego futra pod kolor płaszcza.

Czego mamy prawo wymagać od naszych dostawców?

KTO ODPOWIADA ZA MLEKO ZWARZONE?

Przedmiotem ciągłych sporów między gospodyniami a dostawcami mleka jest kwestja, kto powinien ponosić stratę, jeśli mleko ulegnie w czasie gotowania zwarzeniu. Oczywiście, że gospodynie składają tu zazwyczaj winę na dostawców, ci zaś uchylają się kategorycznie od odpowiedzialności z tego tytułu.

Tymczasem sprawa jest zupełnie prosta. Odpowiedni bowiem przepis wyraźnie stanowi, że nie wolno wprowadzać w obieg mleka wykazującego zwiększoną kwasotę, a zatem nie wytrzymującego próby gotowania—chyba, że o tem sprzedawca uprzedził, sprzedając mleko. Jeśli więc uprzedzenia takiego nie było, to za zwarzenie się mleka, które zostało sprzedane, jako „słodkie” — odpowiada sprzedawca.

WARUNKI DOBREGO MIĘSA.

Odpowiednie przepisy przewidują, że sprzedawane mięso powinno odpowiadać

pewnym minimalnym warunkom. Miąnowicie mięso nie może być: zanieczyszczone, zepsute, spleśniałe, o barwie, zapachu i smaku nienormalnym, barwione, nadmuchane powietrzem. Poza tem świeże mięso nie może zawierać żadnych środków konserwujących, z wyjątkiem soli, cukru, salety, octu.

TAJEMNICA SIEKANINY.

Istnieje dowcip, nazywający bigos — „tajemnicą w kapuście”. Dowcip ten można zastosować równie dobrze do siekaniny, sprzedawanej w formie gotowej w sklepach. Bóg jeden bowiem wie, co może użyć do takiej siekaniny pierwszy lepszy rzeźnik.

Mając to na względzie, odpowiednie przepisy stanowią, że przechowywanie w sklepach mięsa siekanego i mielonego jest bezwzględnie wzbronione. Sprzedaż siekaniny może się odbywać tylko na żądanie kupującego, pod warunkiem, że siekanie wzgl. mielenie odbędzie się w jego obecności.

głowę i nie wiedział: iść naprzód, czy zmykać.

— Zdrada... Ktoś nas wydal!... — szepnął idący za hersztem bandyta.

Zdrada, zdrada! — powtórzyły przerażone głosy.

— To Bela... Ona zawsze za dużo gada.

— Stul pysk!

Rozległ się głuchy łomot. Ktoś jęknął, ktoś zaklął, ktoś kogoś palnął w kark...

A tymczasem z pokoju sąsiedniego grzmiał potężny bas:

— Przedsięwzięte są już środki zaradcze, możesz wierzyć mojemu słowu: miecz i szubienica.

Na te słowa opryszków ogarnęła panika. Jeden po drugim zaczęli cisnąć się do wąskiego otworu w podłodze. Każdy chciał pierwszy uciec z oczywistej zasadzki. Rozgorzała bójka. Avrazy daremnie starał się opanować sytuację. Nikt go nie słuchał. Spowodowany walką hałas spowodził wreszcie policję, która ptaszków ujęła.

Co jednak najciekawsze, to fakt, że w mieszkaniu istotnie nikogo nie było. Rozmowa, która przeraziła złodziei, pochodziła z głośnika radjowego. Zapomniano go wyłączyć. W Budapeszcie zaś nadawano słuchowisko, osnute na dramacie Szekspira „Miarka za miarkę”...

Radjo - Odbiorca

Prasa węgierska notuje zabawny wypadek, nadający radjo rolę, o jakiej napewno nie myśleli jego wynalazcy.

Okazuje się, że w pewnych okolicznościach może ono z powodzeniem zastępować... stróża nocnego.

Oto w miasteczku Szarvas (nad rzeką Theis) ogólne poruszenie wywołał zapowiedziany ślub córki okolicznego magnata z synem miejscowego patrycjusza, właściciela kilku domów i wielkiego składu narzędzi rolniczych. Obrzęd weselny odbyć się miał na wsi u rodziców panny młodej. Rozesłano mnóstwo zaproszeń — cała zamożniejsza ludność Szarvas miała dnia 6-go sierpnia opuścić swe domostwa i udać się na zabawę.

Dowiedzieli się o tem budapeszteńscy „rycerze przemysłu” i postanowili odpowiednio wyzyskać nadarzącą się sposobność. Ze szczególną energją gotowała się do wyprawy na Szarvas banda niejakiego Avrazy'ego.

Avrazy umyślił dostać się z kompaniami swymi przez podkop do składu narzędzi rolniczych i rozpruć tam kasę, w której spodziewał się znaleźć co najmniej pół miliona pengó.

Gdy pod wieczór dnia 6-go sierpnia wszystko co żyło opuściło Szarvas i ruszyło przeróżnymi wehikułami w stronę majątku panny młodej, znikli również owi intrygujący ludność przybysze. Nie pojechali jednak na wesele. Pod wodzą herszta Avrazy'ego dostali się do piwnicy domu ojca panny młodej. Zaopatrzeni

w łomy, świdry i inne odpowiednie rekwizyty, górlowie zabrali się do pracy. Wyrabiali otwór w sklepieniu podziemia i wdarli się do biura składu. Znaleźli tu jednak tylko podręczną kasę, zawierającą bardzo skromną sumkę pieniędzy.

Mocno niezadowoleni, zdecydowali przejść do prywatnego lokalu kupca — w nadziei — że tam umieszczona jest kasa bogacza. Nie było to zadanie łatwe. Należało pociemku wyborować dziurę w suficie, co zabrało opryszkom kilka godzin mozolnej i denerwującej pracy.

Nagle włosy zjeżyły im się na głowach. Byli pewni, że nikogo tu nie zastaną, bo nawet znaczną część służby miano zabrać na wieś... A tymczasem... Co to?!

Z dalszych pokoi dolatują jakieś głosy...

— Jeśli książę z innymi książętami nie pogodzą się z królem węgierskim, to wszyscy książęta rzucą się na króla.

— Niech nam da niebo swój pokój, ale nie pokój króla węgierskiego — odpowiedział potężnym basem jakiś mężczyzna. — Amen — wtrącił ktoś inny.

A po chwili przemówił znów pierwszy — Kończysz, jak pobożny korsarz, który wypłynął na morze z dziesięcioma przykazaniami, ale wyskrobał jedno z tablicy.

— Nie kradnij? — zapytał bas.

— To właśnie przykazanie wyskrobał — brzmiała odpowiedź.

Włamywacze stali, jakby ich tknęła raptem paraliz. Sam Avrazy stracił zupełnie

BAL WĘGIERSKI w WARSZAWIE

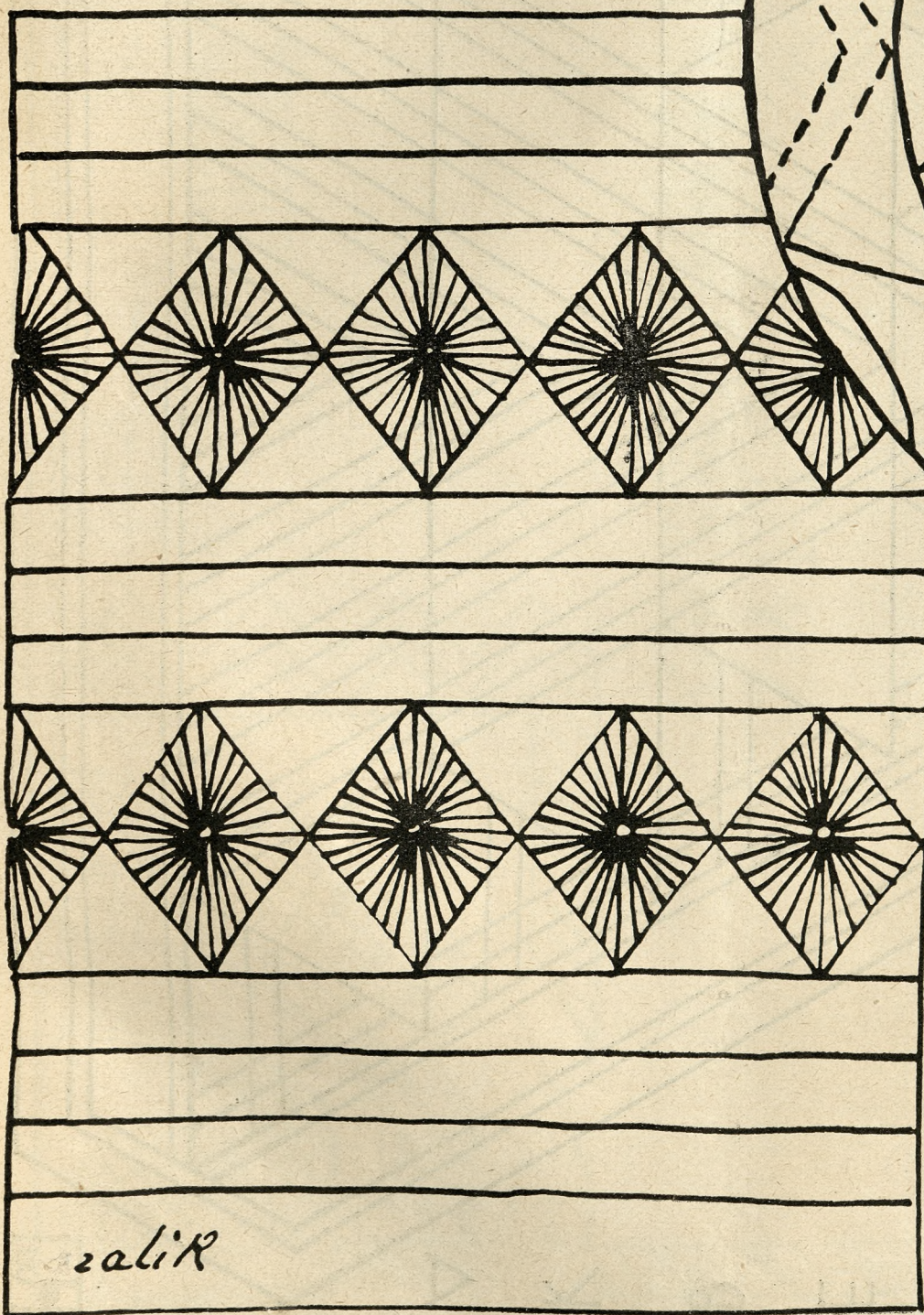
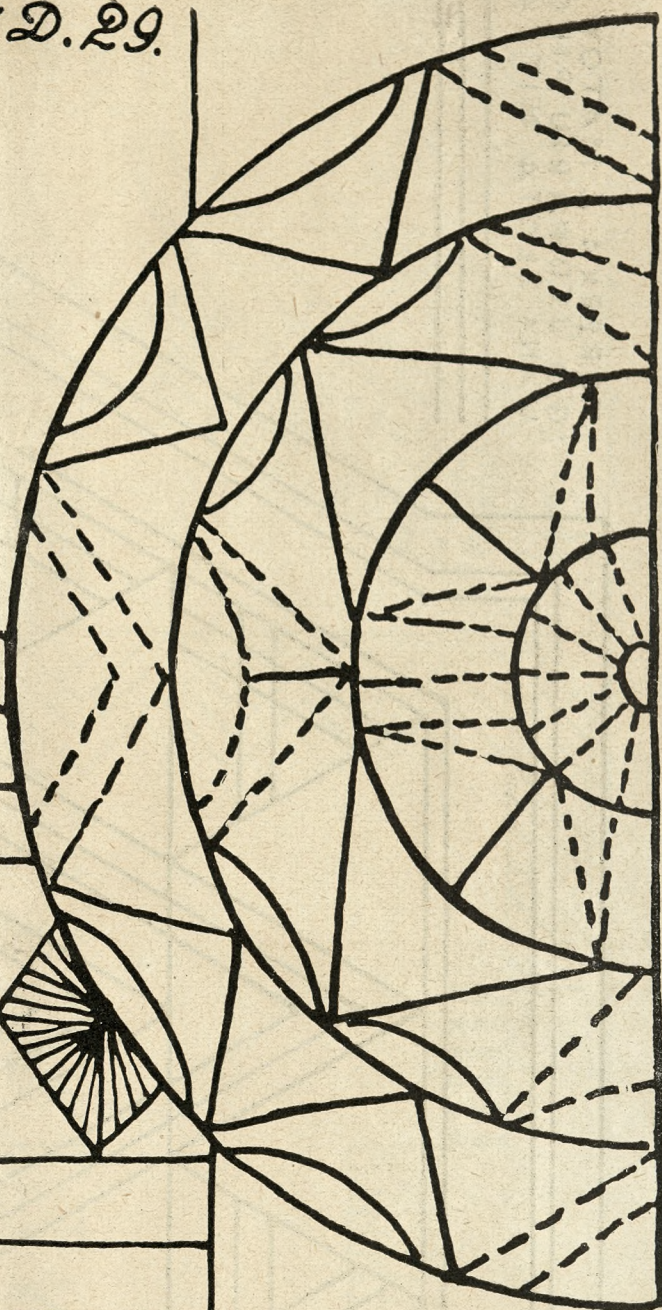
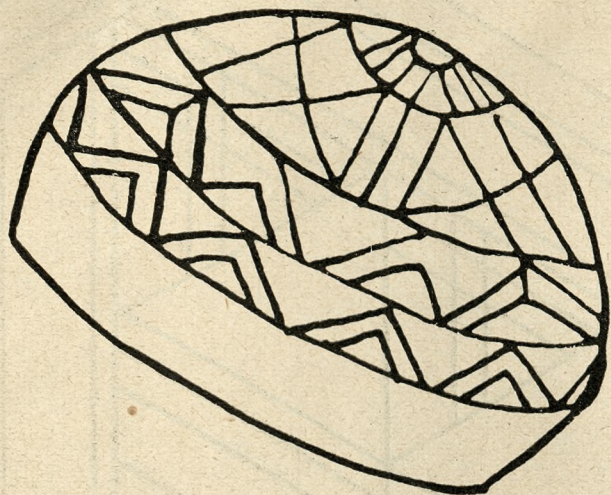
Dla utrwalenia przyjaźni polsko-węgierskiej, jaka od przeszło tysiąclecia łączy oba narody, zamieszkała w Warszawie Kolonia węgierska pragnie zapoznać społeczeństwo polskie ze zwyczajami, jakie dotychczas panują w tym kraju tradycji na Węgrzech.

Korzystając z karnawału, Kolonia węgierska urządza bal na sposób ściśle węgierski. A więc: panie gospodynie, które zechciały przyjąć tę godność, muszą dbać o zaproszonych gości tak, jakby przyjęcie odbywało się u nich w domu. Młodzi panowie zaproszeni do współpracy w podejmowaniu gości, stać będą u wejścia, każdy z białym berłem uwieńczonym kwiatami w dłoni i odprowadzać będą wchodzące panie na salę balową. Trzeba zaznaczyć, że stosować się to będzie tylko do tych pań, które zjawiają się na balu bez opóźnienia; z chwilą bowiem, kiedy protektor zabawy da muzyce cygańskiej znak rozpoczęcia balu czardaszem, panowie z berłami (po węgiersku „Pálcsurak”) wejdą na salę, aby towarzyszyć paniom gospodyniom.

Na zaproszenie Kolonji węgierskiej przybywa na bal chór węgierski, złożony z kilkudziesięciu osób, kapela cygańska, w oryginalnych cygańskich strojach, oraz dwadzieścia pięć par ukostjumowanych tancerzy. Ponadto, na specjalne zaproszenie delegata Kolonji węgierskiej, który w tym celu wyjechał do Budapesztu, przybyć ma w swoich bogatych, malowniczych strojach kilku dostojników węgierskich, związanych węzłami sympatji z Polską.

Beret

M. S. Z. Z. D. 29.

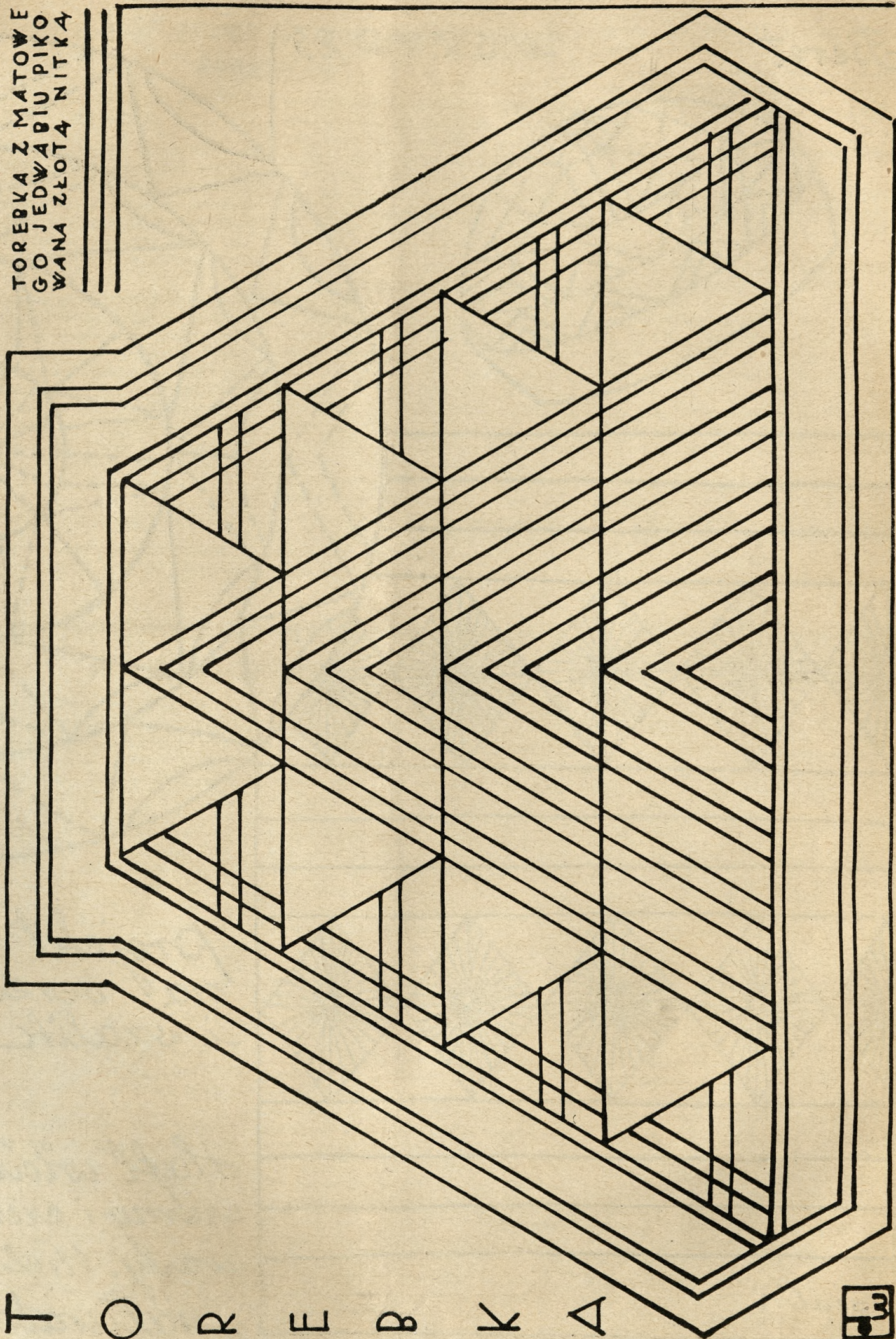


projekt
na beret
i szalik

Haft włóczęka
czarny i czerwony. Wielkość
naturalna

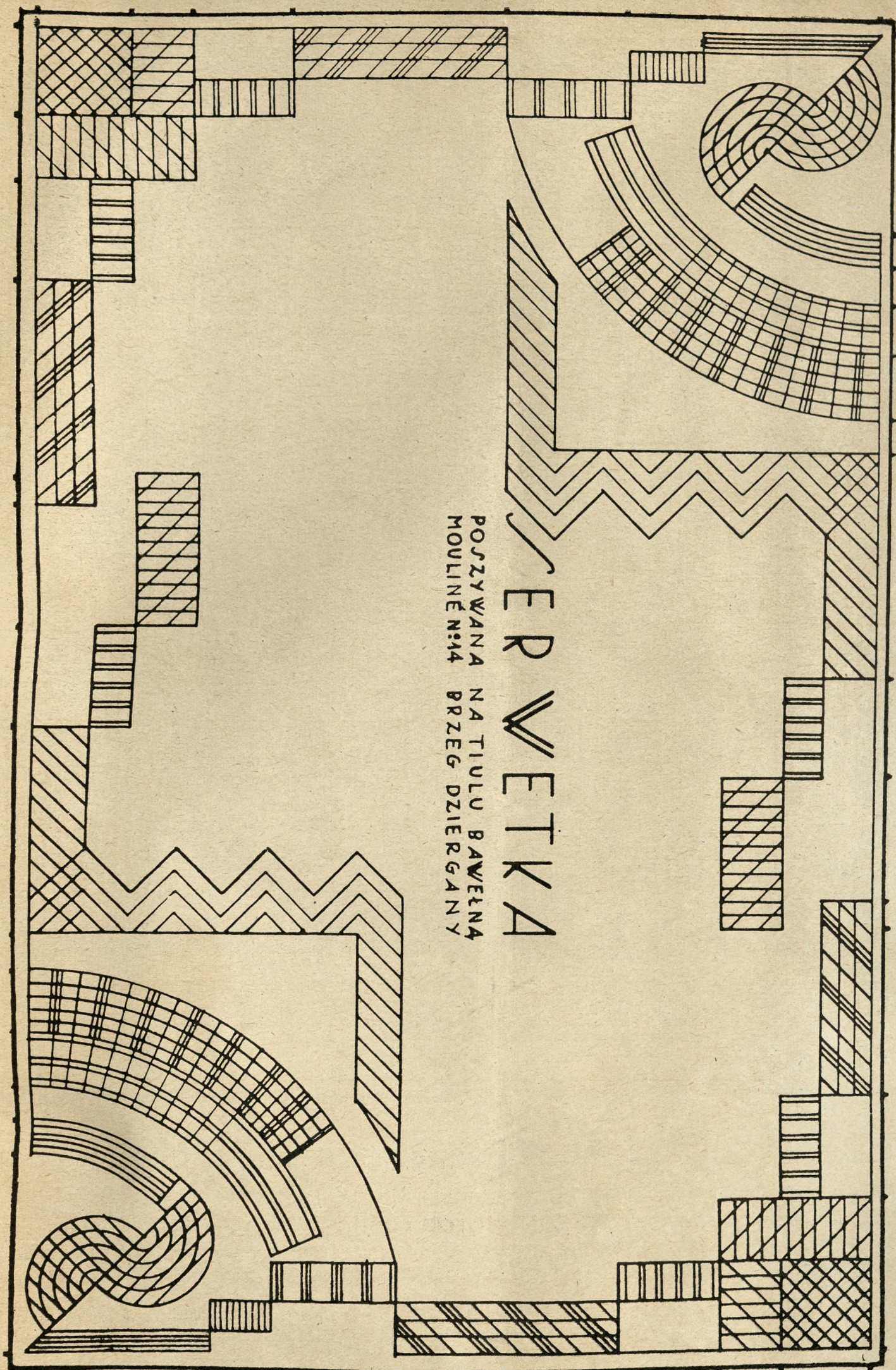
szalik

TORERKA Z MATOWE
GO JEDWABIU PIKO
WANA ZŁOTA NITKA

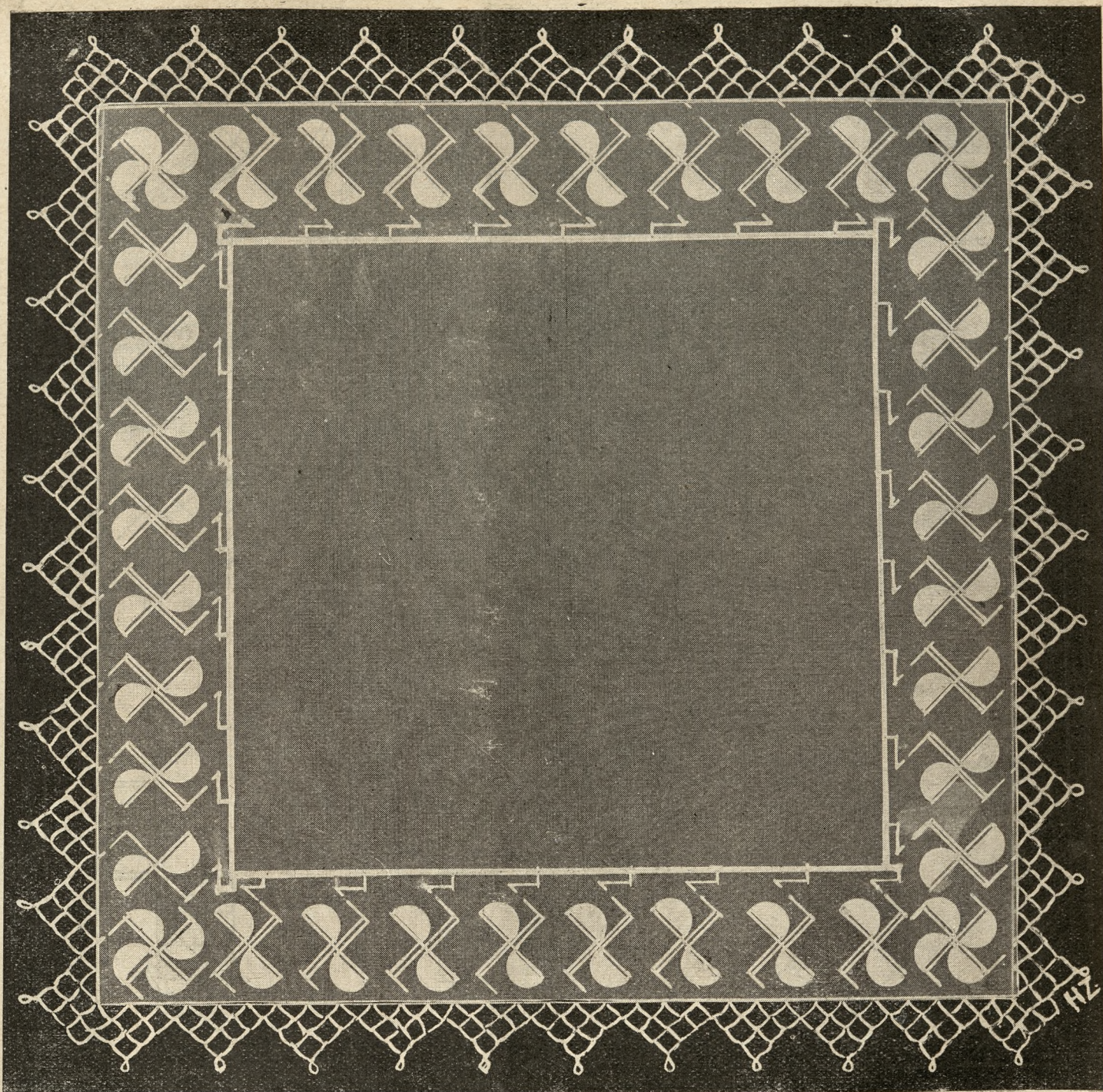


T O R E R K A





SERWETKA
POSZYWANA NA TIULU BAWELNA
MOULINÉ N:14 PRZEG DZIERGANY



*Serwetka z cpału haftowana białem. Projekt H. Zadarnowska.
Wielkość naturalna — obramienie szydełkowe.*

BACZNOŚĆ! Miłośniczki Roślin Pokojowych

Tow. Wyd. „BLUSZCZ” poleca doskonałe podręczniki:

Zwalczanie szkodników i chorób roślin pokojowych	Cena 90 gr.
Kalendarz roślin pokojowych	Cena 90 gr.
Jak należy podlewać rośliny pokojowe	(w druku)

Do nabycia w Tow. Wyd „BLUSZCZ”. Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarniach i kioskach „Ruchu”.